NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor 6·25 Półrocznie kor. 12·50. Rocznie kor. 25. — Do Niemiec: Kwartalnie 6 kor. 90 hal. Półrocznie 13 kor. 80 hal. Rocznie 27 kor. 60 hal. z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 7 kor. 55 hal Półrocznie 15 kor. 10 hal. Rocznie 30 kor. 20 hal., z przesyłką poczt

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 50 halerzy.

Rok XIV. Kraków, 7. lipca 1917. Nr. 27.

W huraganowym ogniu.



Miejscowość Lens na froncie zachodnim, zniszczona doszczętnie przez ogień artyleryi angielskiej.

Od Wydawnictwa.

Wobec niesłychanej **drożyzny wszystkich materyałów,** niezbędnych do wydawnictwa, jak papier, chemikalia i t. p., których **ceny wzrastają** niemal **z dniem każdym i podskoczyły do 500 proc.,** utrzymanie dawnej ceny pisma okazało się niemożliwe. Aby choć w części pokryć koszta wydawnictwa, co jest koniecznym warunkiem jego rozwoju, zmuszeni byliśmy

z dniem 1 lipca b. r. podnieść prenumeratę,

która odtąd wynosi:

kwartalnie 6 K 25 h, półrocznie 12 K 50 h, rocznie 25 K, a cena pojedynczego numeru 50 h.

Zawiadamiając o tem naszych P. T. Prenumeratorów i Agencye, mamy niepłonną nadzieję, że najszersze koła naszych Czytelników zrozumieją konieczność tej podwyżki, **tak nieznacznej w stosunku do ogólnej drożyzny.** A dodać tu musimy, że nie tylko drożyzna, ale wogóle **brak zarówno materyałów do wyrobu klisz, jak i powołanych pod broń wykwalifikowanych pracowników,** stwarza trudności, których pokonanie pociąga za sobą wprost **niebywałe koszta.** Nie cofnęliśmy się jednak przed nimi i pomimo ciężkich warunków wojennych, zdołaliśmy obecnie usunąć pewne niedomagania techniczne, które dotychczas wpływały ujemnie na wykonanie fotografii. Jak trudnem i kosztownem było to **podniesienie wartości illustracyjnej pisma** w obecnych warunkach, każdy chyba zrozumie.

⊙ ⊙

Tych P. T. Prenumeratorów, którzy na III. kwartał nadesłali prenumeratę według dawnej ceny, prosimy **o wyrównanie różnicy.**

W ogniu huraganowym.

(Do illustracyi tytułowej).

Według zgodnej relacyi sprawozdawców wojennych toczące się już od dłuższego czasu bitwy we Flandryi przeszły wszystkie okropności, jakie przyniosła dotychczas obecna wojna. Anglicy, którzy tak długo przygotowywali się do wzięcia czynnego udziału w walkach na kontynencie europejskim, zmobilizowali tam, zda się wszystkie potęgi niszczycielskie. Zwłaszcza z siłą huraganowego ognia artyleryi angielskiej nie da się nic porównać. Znikają też na tym terenie z powierzchni ziemi wsie i miasta, zmiecione formalnie gradem olbrzymich pocisków.



Z frontów bojowych: Stanowiska austryacko-węgierskie w okolicy Dorna Watry. (Zdjęcie sporządzone przez jen. pułk. arc. Józefa).

Tytułowa nasza illustracya przedstawia właśnie jeden z fragmentów tego zniszczenia, mianowicie wspominaną często w komunikatach miejscowość Lens, zburzoną doszczętnie przez huraganowy ogień angielski.

Burmistrz Gorlic do Cesarza i odpowiedź cesarska.

Znane są powszechnie tragiczne losy miasta Gorlic i bohaterska, pełna poświęcenia działalność jego burmistrza ks. kan. Bron. Swieykowskiego, który w czasie inwazyi rosyjskiej, zwłaszcza w okresie pamiętnych walk, z narażeniem własnego życia niósł pomoc mieszkańcom. Szlachetną postać tego kapłana-obywatela oświetla wymownie ogłoszony obecnie w pismach codziennych list ks. kan. Swieykowskiego, wniesiony do cesarza Karola. List ten brzmi, jak następuje:

„Wasza cesarska i królewska Apostolska Mość, najłaskawszy Cesarzu i Panie!

Z „Wiener Zeitung“ dowiedziałem się, że nadane mi zostało wysokie odznaczenie krzyża kawalerskiego orderu Franciszka Józefa. Z niżej przytoczonych powodów widzę się jednak zmuszonym, to, dla mnie ze wszech miar cenne odznaczenie, z pokornem podziękowaniem Waszej cesarskiej i królewskiej Mości oddać do dyspozycyi.

Od 21 lat przebywam jako kapłan i profesor religii w Gorlicach. Ściśle związany z tem miastem, przeżyłem tam tyle chwil szczęśliwych, że nie widziałem w tem nic nadzwyczajnego i godnego uznania, jeżeli w połowie września 1914 roku, gdy wszystkie polityczne i autonomiczne władze były zmuszone z powodu wypadków wojennych miasto opuścić, postanowiłem objąć urząd burmistrza i opiekę nad pozostałymi mieszkańcami.

Skłoniło mnie do tego postanowienia moje kapłańskie powołanie, które mi każe chrześcijańską miłość bliźniego nie tylko słowy głosić, ale czynami okazywać: bez względu więc na to, czy moje usiłowania i trudy zasłużą wobec świata na odznaczenia i pochwały, pragnąłem jedynie pełnić wolę Wszechmocnego Sędziego i Jego święte przykazania. Najpiękniejszą nagrodę dał mi spokój sumienia i silne przekonanie, że w tych strasznych miesiącach, podczas dwukrotnej rosyjskiej inwazyi i ostrzeliwania miasta, trwającego przez 126 dni, uczyniłem wszystko w miarę moich sił i mojej wiedzy na chwałę Boga i dla dobra moich bliźnich.



Burmistrz Gorlic do Cesarza i odpowiedź cesarska: Ksiądz kanonik Bronisław Swieykowski.



Z frontów bojowych: Wojska austryackie nad Soczą wyruszają z rowów strzeleckich do szturmu.



Czytelnia.

Dom żołnierski w Kowlu:



Sala koncertowa.



Jadalnia.

Dom żołnierski w Kowlu:



Biblioteka.

Ciężkie i gorzkie krzyże dźwigałem przez ten czas tak, że w końcu maja 1915 roku mogłem szczerze i bez żadnej ukrytej myśli odpowiedzieć pewnemu niemieckiemu generałowi, który w obecności kilku urzędników magistratu oświadczył: „Wasza Przewielebność! Słyszałem już o księdzu. Należy się Panu krzyż żelazny!“ — „Dziękuję, Ekscellencyo, za te słowa; dość krzyżów dźwigałem jako burmistrz, te mi się należą jako katolickiemu kapłanowi; pozostaw, Ekscellencyo, inne krzyże tym, którzy ich pragną.“

Wychowany od dzieciństwa w ściśle konserwatywnych i lojalnych zasadach, przez całe 52 lata mego życia pozostałem im wierny na każdym kroku i starałem się dowieść tego przy każdej sposobności. A jednak już w czasie, kiedy namiestnik Collard zamianował mnie komisarzem rządowym dla Gorlic, zostałem na denuncyację sługi magistrackiego, wydalonego za pijaństwo, zawezwany przed sąd polowy w Krakowie. Przyszedł straszliwy moment, rozprawa, chociaż moja niewinność była już wykazana w śledztwie przez świadectwa politycznych władz, c. k żandarmeryi i wielu świadków; i na tej rozprawie, która odbyła się 10. marca 1916 roku, musiałem stanąć jako obwiniony. Zostałem jednomyślnie uwolniony, gdyż inaczej być nie mogło. Jednakże to stawienie przed sądem było dla mnie, kapłana, który przez całe życie spełniał nienagannie swoje obowiązki wobec Boga, Kościoła i Ojczyzny, najcięższym krzyżem, jaki włożono na moje barki i serce.

Podczas tej okropnej wojny straciłem mego jedynego brata, porucznika ułanów; moja matka umarła ze zgryzoty po jego śmierci, moje prywatne mienie zostało zniszczone przy zburzeniu miasta — ale wszystkie te krzyże lżej mogłem znieść jako ofiary na ołtarzu miłości Ojczyzny. Ten ostatni, zupełnie niezasłużony krzyż z 10 marca 1916 — który to dzień będzie najpamiętniejszym w mojem życiu — był mi najcięższy i największą goryczą mnie napoił.

Polecając moją najpoddańszą prośbę najwyższej łasce, kreślę się z najgłębszą czcią i poddaniem.

Gorlice, 21. lutego 1917 roku.

Bronisław Swieykowski
kanonik, katecheta, komisarz rządowy.

Niebawem zjawił się w Gorlicach żandarm pałacowy z wiedeńskiego Burgu, jako kuryer, który wręczył ks. kan. Swieykowskiemu list cesarski, będący najpiękniejszem uznaniem jego obywatelskiej działalności, a zarazem znamiennym dokumentem szlachetności serca monarchy. List brzmiał:

Baden, 16. marca 1917.

Kochany kanoniku Swieykowski!

Uznaję powody, jakie skłoniły Pana do prośby, by wolno mu było zwrócić krzyż kawalerski orderu Franciszka Józefa z dekoracyą wojenną, który mu udzieliłem.

We wzorowem wypełnianiu powierzonych obo-



Obrazki wojenne: Grupa jeńców austryackich w Czembarze, gub. Penzeńskiej.



Legiony w Królestwie Polskiem: Kompania karabinów maszynowych przy ćwiczeniach gimnastycznych pod kierunkiem por. Siczka. (C. B. W. N. K. N.)



Zmiana w krakowskiej Dyrekcyi policyi: Ustępujący kierownik, radca dr. Józef Broszkiewicz

wiązków rządowego komisarza w ciężko doświadczonem mieście Gorlicach, w idealnem wykonywaniu swojego powołania, jako duszpasterz, zdziałałeś Pan rzeczy, które posłużą za przykład i zjednały Ci pełen podziwu szacunek szerokich kół społeczności.

Kapłan, który wysokim zadaniom swego wzniosłego urzędu tak sprostał, jak Pan, który w najcięższych czasach był dla bliźnich swoich duchowym pocieszycielem, pomocnym przyjacielem i zapobiegliwym doradcą, wystawił sam sobie w sercach współobywateli najpiękniejszy pomnik i zapewnił sobie kartę honorową w dziejach swej Ojczyzny.

Dla tak wiernego sługi Bożego zbyteczne być może zewnętrzne odznaczenie, albowiem znajduje najwyższą nagrodę w świadomości doskonałego wypełnienia obowiązku.

Z pełni serca życzę Panu, by mógł zapomnieć krzywdy doznanej niezasłużenie w marcu 1916 roku.



Legiony w Królestwie Polskiem: Oficerowie kursu instruktorskiego 1. bat. 2. p. p. w Ostrowie W pośrodku kom. kursu, major armii niemieckiej Zander. (Fot por. S Siczek. C. B. W.)

Najgoręcej dziękuję za wszystko dobre, dokonane prace Pana i proszę Boga o najobfitsze dlań błogosławieństwo. *Karol* m. p.

Dom żołnierski w Kowlu.

Armia współczesna jest przedewszystkiem olbrzymią machiną administracyjną, która zarówno na froncie jak i w najbliższej jego odległości musi troszczyć się nie tylko o samą walkę z nieprzyjacielem, ale także o możliwie najwygodniejsze urządzenie tych olbrzymich zbiorowisk ludzkich, tworzących jakby nowe wyrosłe z pod ziemi miasta. Poza koniecznemi urządzeniami, niezbędnemi do zaopatrzenia armii w żywność i materyał wojenny, zarząd wojskowy troszczy się także i o duchową rozrywkę żołnierzy, żyjących zdala od rodzin w tych wojennych środowiskach. Jednem z najbardziej wzorowych pod tym względem urządzeń jest Dom żołnierski w Kowlu, posiadający piękną salę koncertową, bibliotekę, czytelnię, zaopatrzoną obficie w czasopisma, salę do gier, salę do pisania i t. p. Słowem, Dom żołnierski ma za zadanie dostarczyć rzeszom żołnierskim w chwilach wolnych od obowiązków służby — szlachetnej rozrywki i zastąpić ognisko życia rodzinnego.

Zmiana w krakowskiej Dyrekcyi policyi.

Kierownictwo krakowskiej Dyrekcyi policyi, której nominalnym szefem jest do dnia dzisiejszego radca dworu, dr. Michał Flatau, przebywający obecnie stale we Wiedniu, spoczywało prawie od samego początku wojny w wypróbowanych rękach radcy policyi, dra Józefa Broszkiewicza.

Na tem odpowiedzialnem i trudnem, zwłaszcza w czasie wojennym, stanowisku, potrafił sobie radca Broszkiewicz zjednać ogólne uznanie i sympatyę krakowskiego społeczeństwa, które ceni w nim wzorowego urzędnika, a zarazem i prawdziwego obywatela, spieszącego każdemu chętnie z radą i pomocą. Radca Broszkiewicz, urzędując w krakowskiej Dyrekcyi policyi z górą ćwierć wieku, miał sposobność poznać stosunki miejscowe, potrafił się zżyć z tutejszem otoczeniem i pokochał Kraków całem sercem. Pracując ciężko, nieraz ponad słabe swe siły, taktem swym i wyrozumiałością doprowadził do usunięcia nieufności, z jaką z dawnych czasów odnoszono się do władzy bezpieczeństwa. Za te starania i troskę o dobro współobywateli spotykał się też na każdym kroku z uznaniem ogółu i władz przełożonych, czego widomym znakiem było udzielenie mu przed niedawnym czasem orderu Franciszka Józefa.

Energia, sumienność i wysoki takt, zarazem jednak uczynność i wyrozumiałość, oto dewizy, któremi radca Broszkiewicz kierował się w ciągu swego urzędowania.

Żal też powszechny obudziła wiadomość, iż obecnie ustępuje z zajmowanego dotąd stanowiska, aby, po krótkim wypoczynku, objąć jeden z bardzo ważnych referatów w galicyjskiem namiestnictwie. Prze



Zmiana w krakowskiej Dyrekcyi policyi: Nowo mianowany kierownik, radca rządu Rudolf Krupiński

świadczenie, że godnie wywiązał się z dotychczasowych swych obowiązków i potrafił sobie zjednać uznanie i wdzięczność współobywateli, to chyba najcenniejsza dlań nagroda za to wszystko, co zdziałał dla miasta i kraju. Na nowem stanowisku towarzyszyć mu będą serdeczne życzenia pomyślności i powodzenia wdzięcznych Krakowian.

Następcą radcy dra Broszkiewicza zamianowany został dotychczasowy radca Dyrekcyi policyi, Rudolf Krupiński, któremu cesarz Karol nadał równocześnie tytuł i charakter radcy rządu z uwolnieniem od taksy.

Radca Krupiński, człowiek młody i energiczny, jako Krakowianin znający dokładnie tutejsze stosunki, życie mieszkańców i jego niedomagania, ma przed sobą otwarte pole do bardzo owocnej i pożytecznej działalności i nie należy wątpić, iż wstąpi w ślady swych poprzedników i umocni jeszcze tę nić ufności i sympatyi, którą z krakowskiem społeczeństwem potrafili oni nawiązać.



Legiony w Królestwie Polskiem: Ćwiczenia na kursie instruktorskim 5 bat. 2 p. p. w Ostrowie. (Fot kap Podlewski C. B. W. N. K. N.)

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

5

– Wstawaj – mówi panna Antonina – patrz! Nie zgasiłaś świecy!... Mogłaś pożar wzniecić i sama się spalić! To jest twoja uwaga! jak małe dziecko dozorować trzeba... Bierz pościel i idź spać...

Józia wstała w milczeniu, wzięła ze sterty pościeli na łóżku — kołdrę i poduszkę i wyniosła się cicho do drugiego pokoju, by sobie urządzić, jak zwykle, na kanapie posłanie.

– – – – – – – – – – – – – – – – – –

Nazajutrz od rana zapanował między Józią i ciotką jakiś wymuszony, kłopotliwy nastrój.

Podczas ubierania się i przy śniadaniu nie kłóciły się wcale, nie rzucały sobie nawzajem gniewnych, czy uszczypliwych słów, ale też rozmawiały ze sobą bardzo mało.

Józia miała dzisiaj słodkie, łagodne, jakby nieśmiałe spojrzenie i była cicha, spokojna, milcząca. Na pytania odpowiadała grzecznie, ale krótko, a pierwsza nie odzywała się zupełnie.

Panna Antonina miała chmurę na czole, spoglądała na siostrzenicę zukosa, mówiła do niej tylko w razie koniecznej potrzeby i także bardzo lakonicznie, co było zupełnie niezgodne z jej przyzwyczajeniem.

Około dziewiątej godziny przyszła posługaczka – tęga, przysadkowata, czerwona dziewka. Zaczęło się sprzątanie i przygotowanie do obiadu.

Zanim jednak posługaczka wzięła się do roboty, podeszła do józi i, rozciągając w znaczącym uśmiechu swoje szerokie, mięsiste wargi, podała jej mały jakiś przedmiot, owinięty starannie w różową bibułkę.

– To dla panienki... Ten panicz z „naprzeciwka" kazał panience oddać... Mówił, że był rano na „szpacyrze" to narwał tych „kwioteczków".

Józia rozwinęła bibułkę, z pod której błysnęła biela wiązanka śnieżyczek.

Uśmiech zadowolenia rozjaśnił twarz dziewczyny. Pierwszę kwiaty tej wiosny!

– Jaki ten Adaś dobry!... Jaki subtelny!... Jak wie i pamięta, czem jej można zrobić przyjemność.... Umyślnie się wybrał po te śnieżyczki!

Jakoś ciepło i miło robi się Józi koło serca, że też ktoś jeszcze o niej pamięta. Ogarnia ją uczucie wielkiej wdzięczności dla Adasia.

— Dziękuję, że Małgosia przyniosła... A jak Małgosia będzie wracać, to proszę panu Adamowi odemnie podziękować... Bardzo lubię te kwiatki.

Józia podeszła do zastawionej przeróżnymi drobiazgami półki, aby wyszukać stosowny flakonik dla tej delikatnej, wdzięcznej wiązanki.

Panna Antonina w starej, zniszczonej spódnicy, w pstrym barchanowym kaftanie z włosami owiązanymi chustką – odkurza miotełką z kogucich piór obrazki i fotografie i omiata na suficie niewidzialną tam zresztą pajęczynę.

Wbrew zwyczajowi swemu, głośno nie wypowiada żadnej uwagi, ale rzuca na biały bukiecik takie wymowne zjadliwe spojrzenie, że Józia odruchowo zakrywa ręką kwiaty, jakby chciała uchronić te drobne, delikatne, niezupełnie jeszcze rozwinięte dzwoneczki przed jakimś niedobrym „urokiem".

– Otwórz okno – rzuciła krótko panna Antonina, widząc, że Józia postawiła już flakonik ze śnieżyczkami na stoliku –. Pogodny dzień dzisiaj. Trzeba przewietrzyć mieszkanie.

Dziewczyna w milczeniu spełniła rozkaz. Fala chłodnego powietrza wdarła się do pokoju.

– Może cioci pomódz w czem?

– Eh! Tam twoja pomoc!... Już ty tylko siedź spokojnie i nie przeszkadzaj.

Józia wzrusza lekko ramionami i, zagłębiwszy się w wygodnym, niskim foteliku, zabiera się do haftowania zaczętego ornatu. Chciałaby chociaż w ten sposób dogodzić ciotce.

Nagle z przeciwległego domu, w którym także otwarto okna, rozlegają się śpiewne tony skrzypiec. Płynie rozmarzająca „Pieśń wiosenna" Mendelsohna.

Józia przestaje nawlekać jedwabiem igłę, pochyla głowę trochę naprzód i słucha. To Adaś Zmorski gra dla niej jej ulubioną „Pieśń wiosenną".

– Oho! Zaczyna się rzempolenie! – sarknęła panna Antonina – Ale dlaczego ten smyk do szkoły nie poszedł?!

– Mają dzisiaj wolne, bo to imieniny dyrektora – odrzuca niecierpliwie dziewczyna, niezadowolona, że jej ciotka swojem gadaniem psuje wrażenie pięknej muzyki.

– Hm! – mruknęła pod nosem ciotka – Jak to ty jesteś dobrze poinformowana...

Nie otrzymuje na to żadnej odpowiedzi, bo Józia zasłuchana jest w czarowne dźwięki „Pieśni", która marzy, prosi, śpiewa o wiośnie, o kwiatach, o kochaniu...

Na ornacie nie przybywa ani jeden ścieg.

Wtem... w rozmarzoną melodyę „Pieśni" wmieszał się i zgłuszył ją prawie hałaśliwy turkot jadącej po nierównym bruku rozklekotanej dorożki. Dorożka! W cichej, bocznej małomiejskiej ulicy gość rzadki i zajmujący.

– Do nas jedzie ten „fijakier" – krzyknęła Małgosia – Oho! Już stanął!... Jakiś młody pan przyjechał!

Józia rzuciła spojrzenie na ulicę i... nagle haft, igły, jedwabie – wszystko to poleciało na ziemię.

Dziewczyna zerwała się gwałtownie, zaczepiając w pośpiechu rękawem flakon ze śnieżyczkami, który, potrącony, z brzękiem upadł na dywan.

W jednej chwili Józi nie było w mieszkaniu.

Panna Antonina wydała przedewszystkiem okrzyk przerażenia na widok rozlanej na jej ulubionym dywanie wody. Chcąc go uchronić od plamy, rzuciła się sama na ziemię i zaczęła wodę wycierać.

Kawałki szkła i zdeptane, zmiętoszone kwiatki kazała Małgosi zabrać i rzucić do śmieci.

Dopiero teraz przypomniała sobie o dorożce, wyprostowała się, spojrzała w okno i... oniemiała na chwilę, z ustami, szeroko ze zgrozy rozwartemi.

We wszystkich oknach widać było głowy z oczyma błyszczącemi zaciekawieniam, a Józia!... Józia!... prawie, że się tuliła do piersi jakiegoś młodego mężczyzny, który ręce dziewczyny okrywał pocałunkami.

„Pieśń wiosenna" umilkła, przerwana w pół tonu, jakby w skrzypcach nagle struna pękła, albo skrzypkowi opadła ręka.

– Jezus Marya! – jęknęła panna Antonina, odzyskując mowę – Znowu jakiś skandal!

Józia rzeczywiście w swojej szalonej, niepohamowanej radości zapomniała zupełnie o tem, że robi z siebie widowisko dla ciekawych sąsiadów i ulicznych przechodniów. Choć, co ją to właściwie wszystko teraz obchodzić mogło?!...

– Konrad!... Konrad!... Więc przyjechałeś do mnie...

– Tak, Józiu moja, do ciebie i po ciebie! Wyjedziemy razem i zaraz weźmiemy ślub.

– Co?!... Co ty mówisz?...

Fala szczęścia tak wielkiego, że prawie oszołamia ono, przytomność odbiera – zalewa duszę dziewczyny.

– Tak, Józieńko, pobierzemy się już raz nareszcie... A może ty nie chcesz zostać moją żoną? – mówi Konrad na pół żartobliwe, a chociaż najlepszą odpowiedzią jest radosne wzruszenie Józi, jednak coś, jakby leciutki niepokój pobrzękuje w jego głosie...

– Konradzie... Jak możesz... Ty wiesz...

Konrad spostrzegł już wszakże, że ich powitanie stanowi przedmiot ogólnego zainteresowania. Było mu to nieprzyjemnie, więc zaproponował:

– Może wejdziemy do domu... Przedstawisz mnie twojej ciotce...

– Ach, prawda!... Boże! Jaka ja jestem roztrzepana... Jak ciebie zobaczyłam, o wszystkiem zapomniałam!

Konrad, zamiast odpowiedzi, ścisnął mocno w swojej dłoni paluszki Józi. Nie rozumiał teraz, jak mógł tak długo ulegać matce, wahać się, namyślać, odwlekać – kiedy tutaj czekała na niego ta cudna dziewczyna – może w niepewności, w kłopotach, w zmartwieniu...

Zmizerniała, biedactwo, ale jest jeszcze piękniejsza, niż dawniej, bardziej urocza i taka słodka, szczera, kochana...

Józia wyprzedziła narzeczonego o kilkanaście kroków.

– Ciociu! – zawołała zaróżowiona z falującą szybko piersią – Ciociu! Mój Konrad! Mój narzeczony przyjechał!...

Panna Antonina krzyknęła, chwyciła się rękami za owiązaną chustką głowę i z błyskawicznym pospiechem zniknęła za drzwiami sypialni. Nie mogła przecież w tak zaniedbanem ubraniu przywitać gościa.

Młodzi nie odczuwali wcale jej chwilowej nieobecności. Prowadzili szybką, ożywioną rozmowę, przerywając sobie wzajemnie co chwila.

– Więc mamy się pobrać już... zaraz?

– Tak jest! Już pojutrze!...

– Jakto, pojutrze?... To niemożliwe!... Zapowiedzi?...

– Jadę z Krakowa... Wyrobiłem sobie indult i...

– Ależ, mój ojciec...

– Porozumiałem się z nim... Zezwala...

– Ale wyprawa!...

– Dziecko! Dajże spokój z wyprawą!...

– No, no, tak przecież chyba nie można?...

– Właśnie, że można, dziecinko... Czy ci się to nie podoba?...

– Podoba mi się bardzo, ale mnie dziwi trochę...

– Co cię dziwi?

– Taki nagły pospiech...

– Widzisz, Józiu...

Konrad mimowolnie westchnął.

– Co? Co? Mówże!...

– Zostałem asenterowany i przed odjazdem do wojska chcę się ożenić z tobą... – powiedział krótko, nie chcąc Józi drażnić długiemi omówieniami.

Okrągła bródka zadrgała silnie, niebieskie oczy zaszkliły się łzami.

– Asenterowano cię!... Znowu!... O! Boże...

– No, Józka! Nie uderzajże w bek odrazu! Nie ma czego!... Zobaczysz, nic mi się nie stanie... Powrócę do mojej żoneczki. Tylko chcę odjechać do wojska już jako twój mąż...

– Więc ja pojadę razem z tobą?!...

Konrad roześmiał się głośno.

– Dokąd? Do wojska?...

– Tak!

– Ależ skądże, Józieńko!... To przecież niemożliwe!... Ty zostaniesz w Łykowie, razem z moją matką i siostrą.

Józia drgnęła i silnie strzepnęła ramionami, jakby ją nagle przebiegł zimny dreszcz. Twarz jej przybrała wyraz napół zdumiony – napół przerażony.

– Jakto z twoją matką – w jej domu?!

– No tak, cóż w tem dziwnego? – powiedział Konrad, trochę niepewnie.

– Ależ... ależ... Twoja matka na to się nie zgodzi!...

– Już się zgodziła! Możesz być zupełnie spokojna! już się zgodziła!... – zapewniał Zarnicki tak gorąco i tak pospiesznie, że aż mogło to wydać się trochę podejrzanem.

Józia jednak nie posądzała narzeczonego o kłamstwo.

Była zdumiona, zaskoczona, ale wierzyła. To nagłe przyzwolenie nieprzejednanej, wrogiej dotychczas matki Konrada wydało się jej dziwnem, niespodzianem, nieprawdopodobnem prawie – wierzyć jednak musiała, skoro ją Konrad o tem zapewniał...

Nic więc już nie stoi na przeszkodzie ich małżeństwu... Matka się zgodziła...

W wyobraźni dziewczyny zarysowała się nagle jak żywa pani Zarnicka, taka, jaką widziała wówczas, przy pierwszem spotkaniu w Zakopanem... Wyniosła, dumna pani o chłodnem, przenikliwem spojrzeniu, o zaciśniętych surowo ustach, z których padały słowa bezlitosne, twarde, jak stal, zimne i ostre jak policzek, obelżywe i bolące...

Czyżby ona się zmieniła?... Jak się zachowa teraz, jak spojrzy, co powie...

Józię na samą myśl o matce Konrada zaczynają przebiegać drobne ciarki, a do ust nabiega słodka, gorąca ślina.

Chciała zadać narzeczonemu jeszcze jakieś pytanie, odnoszące się do jego matki, ale przeszkodziła jej panna Antonina, która weszła porządnie już uczesana i ubrana w swoją odświętną suknię, jasno-czekoladowej barwy. Barwa ta była zresztą jak najnieszczęśliwiej dobrana do cery i koloru oczu panny Korzewskiej.

Konrad podniósł się z krzesła z głębokim ukłonem.

– Ciociu, mój narzeczony. Pan Konrad Żarnicki...

Konrad musnął lekko ustami podaną sobie chudą kościstą rękę, którą panna Antonina szybko cofnęła.

– Bardzo mi miło poznać. Proszę, niech pan siada. Pewnie pan po podróży zmęczony, głodny. Coś pan przekąsi...

– Dziękuję bardzo... Nie jestem głodny... Ja... Panna Korzewska nie dała mu dokończyć.

– Ach! To się tylko tak mówi... Zje pan coś z pewnością i herbaty się napije. Józiu – zwróciła się do siostrzenicy – zajmij się herbatą i przygotuj przekąskę.

Józia wysunęła się do kuchni. Kiedy po upływie kilkunastu minut wróciła, posłyszała, że ciotka mówi dziwnym jakimś tonem – bardzo dobitnie oddzielając wyrazy:

– Więc to takie wojenne małżeństwo... I Józia zostanie przy mamie szanownego pana... Hm!... Oczywiście, jeżeli ona się na to zgadza, a ojciec jej zezwala, to...

Konrad miał kwaśną, niezadowoloną minę, brwi lekko ściągnięte – w oczach hamowane rozdrażnienie.

Panna Antonina siedziała sztywna, wyprostowana i spoglądała na niego trochę jakby ironicznie.

Na widok wchodzącej Józi zatrzymała na niej spojrzenie tak długie i tak uważne, jakgdyby siostrzenicę widziała po raz pierwszy w życiu.

Coś, jak ciepły błysk współczucia, zamigotało w wyblakłych źrenicach starej panny.

Podniosła się z fotelu i, zbierając starannie fałdy swojej jasno-czekoladowej sukni, powiedziała sucho:

– Nie będę państwu przeszkadzała... Przed tak pospiesznym i niezwykle pomyślanym ślubem macie zapewne dużo do omówienia...

– Takie śluby w obecnych czasach nie są żadną nadzwyczajnością... – rzekł Żarnicki trochę głośniej, niżby należało, a czarne jego oczy błysnęły już wyraźną irytacyą...

– No tak, być może... – wycedziła panna Korzewska – Zdaje mi się jednak... nie wiem... może się mylę, że stosunki materyalne nawet przy takich wojennych małżeństwach powinny być bardziej... bardziej... jakby to powiedzieć, uregulowane...

Józi, która stawiała właśnie przed Konradem szklankę z herbatą, zadrżały ręce... Strwożony wzrok przeniosła z ciotki na narzeczonego, niebardzo rozumiejąc, o co tym dwojgu chodzi.

Konrad poczerwieniał jak piwonia i byłby się może zdobył na jakąś niezbyt grzeczną odpowiedź, ale panna Korzewska, nie czekając na to, wyszła z pokoju.

– Konradzie! Co się stało? Czy ci ciotka coś niemiłego powiedziała?... Wiesz, ona już taka jest...

– Nieznośna, wstrętna baba!... – wybuchnął Konrad.

– Cicho, cicho!... Może usłyszeć...

Żarnicki zniżył głos i prawie już szeptem mówił dalej:

– Coś ty tutaj musiała wycierpieć, biedaczko... I nic mi o tem nie pisałaś...

– I pocóż ci pisać miałam?... – zauważyła Józia z trochę melancholijnym uśmiechem.

– No, teraz chwała Bogu, zabiorę cię już od tej suchej jędzy!... Co za jadowite, złośliwe, stare panisko!... Jaki inkwizytor!... Wzięła mnie na idagacyę i mordowała pytaniami gorzej niż sędzia śledczy oskarżonego.

– O co cię pytała? – rzuciła Józia z mimowolnem zaciekawieniem.

– O różne rzeczy, które zupełnie do niej nie należą. A to, czy ja już skończyłem uniwersytet... a to czy mam posadę... później znów o spadek po moim ojcu... A jej co do tego?!

Przemilczał tylko, że panna Antonina zapytała go wprost, jak się zapatruje na to małżeństwo pani Zarnicka i czy Józia będzie miała na czas jego nieobecności zapewnione skromne choćby, ale niezależne utrzymanie.

Najbardziej rozgniewało go to, że się pod badawczem spojrzeniem starej panny zmieszał, jak przyłapany na karygodnym figlu dzieciak i że odpowiedział zupełnie jakoś nie do rzeczy. Bo cóż właściwie mógł odpowiedzieć!...

– Naturalnie! Co ciotce do tego! Boże! Co za niedelikatność! – oburzyła się Józia – Nie myśl o tem już dłużej, pij herbatę, bo wystygnie.

Konrad z początku wymawiał się, że niegłodny, ale ostatecznie dał się namówić. Wypił herbatę, zjadł kromkę chleba z masłem i zabrał się do doskonałych malinowych konfitur, stanowiących chlubę gospodarczych zdolności panny Korzewskiej.

Nagle Józia rzuciła pytanie:

– Powiedz mi, co twoja matka...

Konrad nie pozwolił jej dokończyć, rzucił łyżeczkę, którą jadł konfitury, pochwycił obie ręce dziewczyny i przyciągnął ją ku sobie.

– Józka! – zaczął lekko podrażnionym głosem – Dlaczego ty ciągle pytasz o moją mamę z takim jakimś przestrachem? Czy mi nie ufasz? Wierzaj mi, że mama jest bardzo, bardzo dobra... Ma wprawdzie swoje różne... no, uprzedzenia... ale ona mnie tak kocha!...

– Bezwątpienia! – szepnęła Józia.

– Przez miłość dla mnie i ciebie pokochać musi, pokocha napewno...

Józia nie odpowiedziała. Wysunęła delikatnie swoje ręce z jego dłoni, wstała i zamknęła drzwi do przedpokoju, bo z kuchni poczynała przedostawać się silna woń gotującej się tam kapusty.

Konrad przeprowadzał ją wzrokiem.

– Józik! Ty nie jesteś szczera!... Ty coś ukrywasz!... Czy się gniewasz o co na mnie?

Uśmiechnęła się łagodnie.

– Ależ, skądże!... Myślałam teraz o tem, że muszę natychmiast napisać albo zatelegrafować do Anielki...

Zarnicki skrzywił się z lekką niechęcią.

– A!... Do pani Walczakowej!

– Toż to moja jedyna, prawdziwa przyjaciółka.

– Mam nadzieję, że teraz znajdziesz inne! – uśmiechnął się Konrad z pewnym przymusem.

– Takiej, jak Anielka, nigdy! – zawołała gorąco Józia.

Usiadła znowu i po chwili zapytała z widocznem zdziwieniem:

– Czy ty, Konradzie, nie lubisz Anielki? Czy wogóle można jej nie lubić?

Konrad machinalnie obracał w ręce serwetkę.

– Tak... tak... bardzo zacna kobieta, ale ja, doprawdy, czasem jestem o nią zazdrosny i o jej wpływ na ciebie. Mnie się nieraz zdaje, że ty ją więcej kochasz, niż mnie...

Józia spojrzała zdumiona. Czyż Konrad już zapomniał o tem, co dla niej zrobiła Anielka?!

– Pleciesz... pleciesz... Ty co innego i Anielka co innego.

Konrad istotnie nie myślał o tem, że Walczakowa ratowała Józię w krytycznej sytuacyi, nie pamiętał, ile jej okazała troskliwości i życzliwości, nie mógł zaś tego darować młodej mężatce, że się do niego samego odnosiła krytycznie i niedowierzająco i że popierała małżeństwo Maliniewiczówny z Michnikiem.

Nie chciał jednakże wyjawiać narzeczonej swoich powodów niechęci ku Walczakowej, więc po chwili rzekł:

– Dajmy spokój pani Walczakowej... Rób, jak chcesz... Pisz, czy telegrafuj... Wszystko jedno. Tyś i tak już moja! Tylko moja!...

Józia przechyliła trochę przekornie główkę na bok i ze swoim ślicznym uśmieszkiem spojrzała narzeczonemu w oczy.

– – – – – – – – – – – – – – – – – – – –

Ciotka pomagała Józi pakować rzeczy.

– Całe szczęście – mruczała, składając do kufra bieliznę – że tyle rzeczy zostało z tej wyprawy dla Michnika... Bo inaczej, to doprawdy, nie wiem, jakbyś się ty przedstawiła tej... tam... mamusi...

– Cio ciu, proszę nie wspominać o Michniku! – szepnęła przestraszona Józia i z trwogą obejrzała się na zamknięte drzwi – Coby to było, gdyby Konrad posłyszał!... Przy nim niewolno wymawiać nawet nazwiska Michnika!

– Żebyś go tylko ty jeszcze nie wspomniała! – mruknęła znowu panna Antonina, ale tym razem już tak niewyraźnie, że siostrzenica tych słów nie dosłyszała.

– Józiu! – ozwał się z sąsiedniego pokoju głos Konrada – Proszę cię, spiesz się. Za godzinę pociąg odchodzi.

Szybko, pospiesznie, bezładnie zaczyna Józia wrzucać do kufra bluzki, sukienki, matinki, szlafroczki, ale ciotka usuwa ją energicznym ruchem na bok.

– Zostaw! Już ja ci sama wszystko spakuję. To trzeba robić uważnie, ostrożnie, żeby nie pognieść, nie podrzeć, nie zniszczyć. Bóg wie, kiedy będziesz miała na to pieniądze, żeby sobie sprawić coś nowego.

Panna Antonina mówi, jak zawsze szorstko i gderliwie, w głosie jej jednak pobrzękuje jakiś nowy ton – coś, jakby przemocą hamowane wzruszenie.

Wrażliwa natura Józi odczuwa tę zmianę, ucho jej podchwytuje ten subtelny odcień i nagle dziewczynie przebiega przez głowę myśl:

– A jednak ona mnie lubi trochę, tylko [illegible] jakoś okazać nie umiała. Widzę przecież, że troszczy się o mnie. Może to ja byłam winna, że niepotrzebnie ją drażniłam, nie chciałam się dostosować do jej wymagań i przyzwyczajeń.

Józia, jak zwykle, impulsywna nie umie i nie chce ukrywać swoich wrażeń. I nagle, niespodzianie dla ciotki, a nawet dla samej siebie, przypada ustami do ręki panny Antoniny.

– Cio ciu, proszę mi wybaczyć... Ja bardzo serdecznie przepraszam za wszystkie przykrości, kłopoty, jakie ciocia ze mną... przeze mnie...

Twarz starej panny zmienia się, powieki jej zaczynają mrugać szybko, szybko, bardzo szybko, z palców wysuwa się biała, pówiewna bluzka, którą panna Antonina starannie zawijała w płótno.

Chwilę jeszcze usiłuje walczyć z ogarniającem ją coraz silniej rozczuleniem, ale już nie zdoła... Chwyta w obie dłonie głowę siostrzenicy i do złocisto-bronzowych, jak jedwab miękkich i lśniących włosów przyciska swoje zwiędłe wargi.

– Moje dziecko... moje dziecko... to chyba moja wina... bo widzę, że ty masz serce... jesteś lekkomyślna, narwana, roztrzepana, ale masz serce... I dlatego boję się... bardzo się boję...

Panna Antonina urywa, nie kończy i po chwili dopiero ciągnie dalej:

– Życzę ci wszystkiego najlepszego, ale, gdybyś kiedy Józiu... Wszystko być może... nie musi, ale może... ty tak mało jeszcze znasz życie... Gdybyś kiedy potrzebowała dachu... schronienia, to przypomnij sobie starą, nudną ciotkę...

ROZDZIAŁ IV.

U pani Żarnickiej nakryto już do kolacyi. Stół jaśnieje białością obrusa i porcelany, lśni połyskiem sreber – jak zwykle. Bo pani domu czuwa zawsze nad tem, żeby zastawa stołu była bez zarzutu.

Nie znać jednak dzisiaj żadnych uroczystych przygotowań. Nie wyjęto z kredensu piękniejszego serwisu, nie wydobyto wykwintniejszych sreber, nie ustrojono stołu kwiatami.

Zwykła kolacya i koniec. Dodano wprawdzie jedno nakrycie, ale gość nie jest przecież także w tym domu rzadkością, a to widocznie gość jakiś, dla którego się żadnych specyalnych nie czyni zachodów.

Pani Zarnicka, ubrana w ciemno-popielatą codzienną suknię domową, siedzi przy nakrytym stole, trzyma w ręce blankiet telegraficzny i wpatruje się w niego.

Otrzymała ten telegram już przed kilku godzinami, przeczytała go kilkanaście razy, miała czas, by oswoić się z jego treścią, a jednak odczytuje go ciągle na nowo, jakby oczom własnym nie chciała wierzyć.

„Przyjeżdżam dzisiaj, czwartek, wieczornym pociągiem z żoną Konrad.“

Krótkie, proste, lakoniczne słowa, a ileż w nich treści. Oznaczają one, że syn zlekceważył jej wolę, podeptał dumę – świadczą, że znienawidzona Józia Maliniewiczówna jest już panią Zarnicką i ma prawo do pobytu pod tym dachem.

– A przyjąć ją trzeba – pomimo wszystko przyjąć się musi!

Pani Zarnicka zanadto kocha swego jedynaka, by zdobyć się na krok taki, jak zerwanie z nim... Nie! O tem nie myśli wcale...

Józię na razie przyjąć trzeba, a później zobaczy się...

– Stało się – szepcze sama do siebie przez zaciśnięte zęby pani Zarnicka – ale ta intrygantka... ta bezczelna... zapłaci mi...

Cicho weszła do pokoju Lola. Na emaliowanej ładnej podstawce ustawiła na środku stołu wazonik z blado-różowym, gęsto osypanym kwieciem hyacyntem. Delikatna woń kwiatu rozeszła w dobrze ogrzanem powietrzu.

Pani Zarnicka podniosła głowę.

– Po co to? Co to znaczy? – zapytała surowym tonem, wskazując hyacynt.

– Tak jakoś trochę weselej... ładniej...

– Ale po co to?

– No, przecież przyjeżdża Konrad ze żoną. – powiedziała nieśmiało córka.

– Także powód do wesołości i przystrajania stołu. – pani Zarnicka zaśmiała się nieprzyjemnie, spojrzała na córkę i zobaczyła, że Lola włożyła swoją nową, jasno-perłową sukienkę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kurs sklepikarski dla inwalidów wojennych.

Staraniem Komendy Szkoły dla inwalidów wojennych w Krakowie i Wydziału wykonawczego, odbył się drugi kurs sklepikarski dla inwalidów, który trwał od 18. grudnia 1916 do 27. czerwca b. r. Kurs miał na celu przyswojenie uczestnikom wiadomości handlowych w zakresie handlu mieszanych towarów, tak, aby absolwenci mogli uzyskać stały zarobek, czy to przez prowadzenie przedsiębiorstwa na własny rachunek, czy też przez udział w charakterze sklepikarzy w sklepach związkowych, przedewszystkiem w sklepach Kółek rolniczych.

Nauka udzielana była przy zastosowaniu odpowiednich środków demonstracyjnych w gabinecie towarowym, umyślnie na ten cel urządzonym i zaopatrzonym w próbne towary w zakresie handlu towarów mieszanych.

Dopełnieniem środków demonstracyjnych była wspólna ekskursya uczestników kursu do salin i warzelni soli w Wieliczce, rozpatrzenie gospodarstwa piwnicznego w wielkich składach win p. Jana Kantego Fedorowicza i zwiedzenie fabryki zwierzynieckiej octu i musztardy.

W dniu 26. i 27. b. m. odbyło się zakończenie kursu połączone z egzaminem. W skład komisyi egzaminacyjnej wchodzili pp. Generał Aleksander Truszkowski, przewodniczący Wydziału wykonawczego krajowej Komisyi opieki nad inwalidami wojennymi, pułkownik Antoni Ostenwall Glasner, komendant szkoły inwalidów wojennych w Krakowie, Józef Kannenberg, dyrektor Akademii handlowej i dr. Józef Raczyński, reprezentant Zarządu głównego Towarzystwa Kółek rolniczych. Wynik egzaminu okazał się pod każdym względem dodatni. Członkowie komisyi egzaminacyjnej w poważnych swych przemówieniach wyrazili szczere podziękowanie gronu nauczycielskiemu i uznanie absolwentom kursu.



Kurs sklepikarski dla inwalidów wojennych: Grupa uczestników kursu wraz z gronem nauczycielskiem 1) Dr. Wład. Dulęba, kierownik kursu, 2) por. J. Warywoda, 3) Kaz. Skocki, 4) W. Urbański.

Absolwenci kursu z uzyskaniem zasłużonych świadectw utorowali sobie drogę do płatnych zajęć w zawodzie handlowym, jak to już osiągnęli ich poprzednicy z pierwszego kursu, przy pomocy Urzędu Opieki socyalnej nad inwalidami wojennymi (pod kierownictwem p. Witolda Ostrowskiego) i Zarządu głównego Tow. Kółek rolniczych.

Zamieszczona w dzisiejszym numerze fotografia przedstawia uczestników kursu wraz z gronem nauczycielskiem, w skład którego wchodzili pp. dr. Bronisław Dulęba, z ramienia Zarządu głównego Towarzystwa Kółek rolniczych kierujący kursem, porucznik Józef Warywoda, Kazimierz Skocki i Wiktor Urbański, którzy w porozumieniu z Zarządem głównym zostali przydzieleni przez c. i k. Komendę szkoły inwalidów wojennych do udziału w kursie.

Ze szkolnictwa zawodowego.

Hasła, nawołujące do skierowywania młodzieży, tak męskiej jak i żeńskiej do szkół zawodowych, stają się u nas w ostatnich latach coraz bardziej popularne i wpływają na odciążenie gimnazyów, na korzyść szkół handlowych, przemysłowych, gospodarstwa domowego i t. p. Do szkół handlowych garnie się przedewszystkiem młodzież żeńska.

Istniejące przy krakowskiej Akademii handlowej szkoły i kursy są stale przepełnione. Okazała się zatem potrzeba i prywatnej inicyatywy w organizowaniu tego rodzaju uczelni. Świadczy o tem n. p. znaczna frekwencya na jednorocznym kursie handlowym żeńskim profesora tej Akademii, p. W. Skalskiego.

Istnieje ten kurs od trzech lat, a wiele z licznych jego absolwentek, pracując w różnych przedsiębiorstwach prywatnych i publicznych, podnoszą dobrobyt swych rodzin. Niema wątpliwości, że i tegoroczne absolwentki znajdą szybko pole dla swej ukwalifikowanej pracy.





Z frontów bojowych:

Dwór wiejski w okolicy Ypern, w którym utrzymała się załoga niemiecka pomimo gwałtownych ataków nieprzyjaciół.

Kościół we wsi flandryjskiej, zniszczony pociskami dział angielskich.



Ze szkolnictwa zawodowego: Uczenice jednorocznego kursu handlowego prof. W. Skalskiego.

Z frontów bojowych.

Na wschodzie okazuje nieprzyjaciel w ostatnich dniach nieco więcej ruchliwości. Jakkolwiek rozprzężenie armii rosyjskiej staje na przeszkodzie większym operacyom, drobne jednak starcia wyprowadziły przecież front wschodni z zupełnego zastoju. Zwłaszcza zaostrzyła się akcya artyleryjska i lotnicza. Ze to wojna, przypomniano sobie w przestworzu pod Smorgoniami, dalej w okolicy na zachód od Łucka, wreszcie nad Narajówką i na południe od Dniestru. Wyruszyły przeciwko frontowi austro-węgierskiemu w różnych punktach oddziały wywiadowcze, wszędzie jednakowoż zostały odparte. Mimo to intenzywna czynność artyleryi nie ustaje.

Na froncie flaudryjskim trwa w dalszym ciągu walka artyleryi, to wzmagając się, to słabnąc naprzemian. Gdy korzystniejsze obecnie zapanowały stosunki powietrzne, przybierają na intenzywności starcia na tamtejszym froncie. Najsilniej zarysowują się one ciągle jeszcze w odcinku Wytschaete. Angielskie ataki na wschód od Ypres w okolicy Hooge rozbiły się o dzielny opór niemiecki. Taki sam los je spotkał pod Vermelles, Loos, jakoteż na zachód od Lens i w przestrzeni Warneton. W odcinkach frontu od Ypres do Armentieréres, jakoteż od kanału La Bassée aż do potoku Sensée czynność ogniowa znacznie wzrosła. Anglicy, rozdrażnieni niepowodzeniem ofenzywy, toczą walkę dalej, aby dać dowód, że jeszcze sił nie wyczerpali.

Obecnie dopiero nadchodzą dokładniejsze szczegóły o przebiegu walk, jakie rozgrywały się w pierwszych dniach obecnej bitwy we Flandryi i w łuku



Z frontów bojowych: Austryackie pozycye obronne wśród błot na froncie wschodnim.

Wytschaete. Okazuje się, że kierownictwo armii niemieckiej było przygotowane na to, że na tym odcinku atak nastąpi. Łuk bowiem wystawał głęboko w linie angielskie i był dla nich bardzo niewygodny. Już w połowie maja Anglicy rozpoczęli przygotowania do ataku. W końcu maja rozpoczęli walkę artyleryjską. Według z góry ułożonego planu najpierw zasypali pociskami drogi i koleje, którymi, jak mniemali, Niemcy doprowadzają swe rezerwy, następnie ciężka artylerya przeniosła ogień na miejscowości, gdzie spodziewano się wyższych komend. Nie tylko Comines, które już od roku stoi w ogniu artyleryi angielskiej, ale także Wervica i Menin zostały zamienione w kupy gruzów.

Wreszcie rozpoczęła się bitwa. Artylerya niemiecka była świetnie przygotowana i ona też wstrzymała nieprzyjaciela. Ogień zaporowy podejmowany był z taką szybkością i precyzyą, że jak opowiadali potem oficerowie niemieccy, już po pierwszym sygnale, nim wystrzelili drugą rakietę świetlną, już zamykał on drogę nieprzyjacielowi. Na drodze Wytschaete—Messines pojawiły się tanki i zostały rozbite. Na linię kolejową Ypres—Roulers wjechał pociąg pancerny z bateryą armat, natychmiast granaty niemieckie wywołały w nim wybuchy. W nocy 7. czerwca ogień osłabł. Domyślano się, że rozpoczną się ataki piechoty.



Sezon operowy w Krakowie: Aleksandra Szafrańska.



Opieka nad chorymi: Koncert dla rannych i chorych żołnierzy na dziedzińcu szpitala Nr. 1. w Jarosławiu. Chór uczenic kursów semin. prof. Adama Wilusza (X) i orkiestra gimnazyalna.

W walkach na Zachodzie sekundują Anglikom Francuzi, którzy nad Aisne czynią dalej wysiłki, aby odzyskać utracone tereny. Zdarzyło im się przytem fatalne nieporozumienie: 20.000 Francuzów dostało się pod ogień własnej artyleryi, co jeszcze silniej zdeprymowało umysły żołnierzy, tak, że wogóle ataki francuskie już nie okazują tej werwy i żwawości, jaką Francuzi zazwyczaj ujawniają w walce. Może temu przypisać należy okoliczność, że n. p. pod Vauxaillon, gdzie poszli w ogień na przestrzeni około 1500 m., nic nie wskórawszy, musieli się cofnąć. Natomiast udało im się w zachodniej Szampanii, na wschód od Cornillet, wtargnąć do kawałka okopów niemieckich. W zamian Niemcy zajęli pod Moronvilliers na Poehlbergu pozycyę nieprzyjacielską 400 m. szerokości i odparli siedm ataków, które w ciągu nocy podejmowali Francuzi dla odbicia utraconego stanowiska.

Na froncie macedońskim zaszła o tyle zmiana, że dla przeprowadzenia planu ententy co do zboża w Tessalii, gdzie rozpoczynają się już żniwa, musiał Sarrail wysłać tam cztery dywizye, skutkiem czego właśnie Anglicy cofnęli się napowrót ze wschodniego brzegu Strumy na drugą stronę. Ruch ten świadczy, że nieprzyjaciel zrezygnował z najbliższego swego celu, Serres. Walka artyleryjska na froncie macedońskim nie ustaje. Najsilniej grają armaty w okolicy Bitolii.

Opieka nad chorymi.

Dzielni nasi żołnierze, których tak wielu leczy się po różnych szpitalach, rozrzuceni po całym kraju, spotykają się na każdym kroku ze współczuciem społeczeństwa. Każdy radby im przyjść z pomocą wedle możności i osłodzić ich gorzką dolę, jak na to zasłużyli, nadstawiając mężnie piersi w obronie granic kraju.

Opieką lekarską, jaką są otoczeni, zajmują się zarządy szpitali, sanatoryów i innych tego rodzaju zakładów, opiekę moralną rozciąga nad nimi ogół przez jednostki dobrej woli, które nie szczędzą ani swego czasu, ani kosztów, by uprzyjemnić biednym chorym i rannym dni przymusowego pobytu w zakładzie.

Prócz dostarczania gazet i książek, co w naszych warunkach połączone jest z pewnemi trudnościami, gdyż w każdym szpitalu leczą się chorzy, należący do najrozmaitszych narodowości, zamieszkujących monarchię, urządzanie przedstawień teatralnych i popisów muzykalno wokalnych stanowi jedną z głównych



Z frontów bojowych: Oddział karabinów maszynowych przechodzący wbród odnogę alpejskiego jeziora. Epizod z dziesiątej bitwy nad Soczą



Sezon operowy w Krakowie: Ewa Bandrowska.

rozrywek, przeznaczonych dla kuracyuszy. Spiew i muzyka, nawet bez słów, potrafią przemówić do serca człowieka i pozwalają mu bodaj na chwilę zapomnieć o cierpieniach fizycznych, a nieraz i moralnych, gdyż chyba niema między nimi takiego, który nie kłopotałby się o los swoich, przebywających gdzieś daleko i nie wiedzących nieraz, co się dzieje z ich najbliższymi.

O koncertach urządzanych w szpitalach krakowskich nieraz już wspominaliśmy, w niniejszym numerze podajemy illustracyę, przedstawiającą popis muzykalno-wokalny, urządzony dla chorych i rannych żołnierzy na dziedzińcu szpitala nr. 1 w Jarosławiu. Role wykonawców i wykonawczyń objęła młodzież kursów seminaryalnych żeńskich i orkiestra gimnazyalna, kierownictwem zajął się prof. Adam Wilusz. Koncert wypadł wspaniale, burza oklasków była nagrodą dla inicyatora i dyrygenta oraz dla całego zespołu, stokroć zaś większą głęboka wdzięczność audytoryum.

Sezon operowy w Krakowie.

Letnia opera krakowska pod kierunkiem p. T. Trzcińskiego, ze stałym współudziałem Krakowskiego Towarzystwa Operowego, rozpoczęła sezon w dniu 21. czerwca „Halką" w nowej inscenizacyi. Jakkolwiek za pewnik przyjąć trzeba, że inscenizator, którym był p. Trzciński, zamiary swe w obecnych warunkach w części tylko mógł przeprowadzić — to, cośmy widzieli i słyszeli, odbijało dodatnio od szablonu, przywiązanego dotąd do przedstawień arcydzieła Moniuszki. Odnowiona „Halka" zainteresowała w wysokim stopniu cały Kraków i pewnie przez wiele wieczorów pociągać będzie tłumy słuchaczy do teatru.

Odrazu pierwsze wieczory zapoznały nas z kilkoma nowymi siłami śpiewackimi i przypomniały wyborną śpiewaczkę p. Aleksandrą Szafrańską, która choć Krakowianka, w rodzinnem mieście nazbyt rzadko dawała się słyszeć. Wielkie zalety wokalne i sceniczne, ogromna muzykalność i niezaprzeczony talent dramatyczny p. Szafrańskiej, sprawiły, że jej Butterfly, nawet po Pilarz Mokrzyckiej i Dębickiej, interesowała indywidualnym wyrazem i szczerym liryzmem. Sensacyą dla Krakowa był również pierwszy występ p. Ewy Bandrowskiej, córki prezesa T. S. L. — P. Bandrowska nie zawiodła wysoko napiętego oczekiwania. Szlachetne brzmienie głosu, jasnego i używanego umiejętnie, swoboda sceniczna i naturalność gry w połączeniu z osobistym wdziękiem, złożyły się na całość ujmującą, w której nie było nic nieporadności i zakłopotania debiutanckiego. Dalsze występy utalentowanej Krakowianki spotkają się z pewnością po tym udanym wstępie z niemniejszem zainteresowaniem szerokiej publiczności.

Partye tenorowe wykonują naprzemian: p. J. Stępniowski, którego piękny głos rozwija się widocznie i bardzo pomyślnie, oraz p. Roman Lubieniecki, którego nazwisko dotąd polskiej publiczności było obce.



Sezon operowy w Krakowie: Roman Lubieniecki.

Młody śpiewak, którego wprost z końcowego popisu wiedeńskiej Akademii muzycznej w roku 1914 zaangażowano do opery drezdeńskiej, wyrabiał sobie na razie repertuar na mniejszych scenach niemieckich. W języku polskim śpiewa dopiero pierwszy raz. W tych niekorzystnych warunkach jednak, piękny głos, dźwiękiem przypominający Myszugę i znaczny kunszt śpiewacki, wywarły wrażenie bardzo dodatnie, zadokumentowane przez publiczność w przedstawieniach „Fausta" częstymi oklaskami przy otwartej scenie.



Legiony w Królestwie Polskiem: Szkoła podoficerska żandarmeryi legionowej.

Piotr Zaccone

Tajemniczy zbrodniarz

Tłumaczyła: Marya Segeny.

4

— Zbliżamy się do końca — zauważył zimno nieznajomy.

— Ah! Nędzniku! Zabiłeś mnie!

— Zdaje się.

— Mój Boże! Czy uczyniłem ci co złego? Byłem ci oddany... Ah! Gdybym cię mógł dostać w swoje ręce!

— Chcesz wiedzieć, dlaczego umierasz? — wymówił poważnym głosem nieznajomy, pochylając się nad konającym. — A więc powiem ci to: Umierasz dla tej przyczyny, że się nazywasz Bonnet, a wszyscy, którzy to nazwisko noszą — zginąć muszą!

Ale konający nie zrozumiał już tych słów. Ostatni jęk podniósł pierś jego, ostatnie drżenie wstrząsnęło jego ciałem, które teraz bezwładne i nieruchome legło na posadzce.

— Dobrem jest wszystko, co dobrze się kończy! — zawyrokował nieznajomy, konstatując, że ofiara jego nie daje już znaku życia. — A teraz trzeba pomyśleć o ukryciu tych zwłok!

Podszedł do drzwi i otworzył je szeroko. Podczas tej sceny niebo pokryło się ciężkiemi chmurami i deszcz drobny a gęsty padać zaczął. Silny prąd powietrza wtargnął do pokoju, gasząc lampę.

— Doskonale się wszystko składa — zauważył morderca. — Noc dosyć ciemna, aby mnie jakie niedyskretne oczy nie podpatrzyły!

Podszedł do zwłok i szybko ujął je z podłogi, kierując się z niemi w oddaloną część ogrodu. Na chwilę przystanął, nadsłuchując. Ale wokoło panowała cisza niczem niezmącona. Nieliczni sąsiedzi skryli się przed deszczem w mieszkaniach. Mógł więc działać z całą swobodą. W tej części ogrodu znajdowała się głęboka, oddawna już wyschnięta studnia, założona wielkim, okrągłym kamieniem. Nieznajomy odsunął kamień i wrzucił zwłoki do dołu, poczem starannie zamknął otwór.

— Pozbyłem się go nareszcie! — szepnął z ulgą. — Mądry będzie, kto go tu odnajdzie! A teraz prędko w drogę!

Powrócił spiesznie do domu, zabrał przygotowaną walizę, wyjął ze szafy portfel, wypełniony papierami, i opuścił mieszkanie, zamykając je na klucz.

O kilka kroków od furtki ogrodowej oczekiwał zamówiony powóz. Stangret już od chwili zaczął się niecierpliwić opóźnianiem się gościa.

— No, nareszcie! — mruknął, ujrzawszy nieznajomego. — Myślałem, że już pan nie pojedzie.

Ten zaś wskoczył szybko do powozu i zawołał rozkazująco:

— Na dworzec św. Łazarza!

VI.

Modniarka.

Dwudziestego kwietnia, około godziny dziesiątej rano, parowiec „Cambodge", przybywający z Aleksandryi, wpłynął do portu w Marsylii. Pogoda była śliczna, lekki wietrzyk wiał od południa, a wzdłuż długiego skweru la Joliette tłum różnobarwny oczekiwał przybycia okrętu.

Na szerokim pomoście, rzuconym od brzegów, tłoczyli się pasażerowie, zatrzymywani przez urzędników, sprawdzających paszporty i bagaże. Defilada ta trwała prawie pół godziny, poczem hałas i zamieszanie ucichły, tłum stał się mniej zbity i wkrótce nieliczni już tylko podróżni schodzili przez pomost na skwer, spiesząc się do oczekujących znajomych, lub do pociągu, odchodzącego właśnie o tej porze.

O kilkanaście kroków od brzegów, oczekiwał wóz pocztowy, czekający na listy i depesze, które urzędnicy przewieźć mieli na kolej, a mające odejść pierwszym pociągiem do Paryża. W kilka minut transport ten został uskuteczniony. Ukazał się urzędnik pocztowy z ostatnim wypchanym workiem, drzwiczki wozu zostały szczelnie zamknięte, i konie ruszyły szybko z miejsca.

Zdawać się mogło, że już wszystkie czynności załatwione zostały i że żaden pasażer nie pozostał na pokładzie „Cambodgea", jednakże tak nie było.

W chwili, kiedy wóz pocztowy, uwożący depesze i listy, odjeżdżał, ukazał się człowiek o silnie brązowej cerze i zdążał przez kładkę na skwer. Mógł mieć lat koło trzydziestu. Rysy twarzy wskazywały wielką stanowczość i energię, a gorący blask jego bystrych oczów nadawał całej twarzy osobliwy jakiś wyraz. Towarzyszył mu majtek z okrętu, niosący niewielką, żółtą walizę i koc podróżny.

Przy końcu kładki stał urzędnik cłowy na straży. Podróżny podszedł szybko do niego.

— Może zechce mnie pan objaśnić — odezwał się czystym francuskim akcentem — ale przybywam zdaleka i zaniedbałem poinformować się, o której godzinie odchodzi pociąg do Paryża?

— Pociąg pospieszny? — zapytał urzędnik.

— Tak jest.

— Punktualnie o drugiej!

Podróżny spojrzał na zegarek.

— Już jest dwunasta. Zdaje mi się, że nie będę mógł zatrzymać się w Marsylii. A no, trudno, odłożę to na inny raz!

Podczas tej krótkiej rozmowy, majtek zawołał stojącą opodal dorożkę i kładł do niej walizę.

W tej samej chwili podróżny pożegnał spiesznie urzędnika, wsunął posługaczowi w rękę złotą monetę i szybko wskoczył do powozu. W kilka minut dojeżdżał do dworca i udał się natychmiast do restauracyi kolejowej, gdzie sobie kazał podać śniadanie. Spostrzegłszy, że już nadchodzi godzina odjazdu, zapalił cygaro, uregulował rachunek i, wyszedłszy na peron, zajął miejsce w wagonie, w przedziale pierwszej klasy.

Pociąg miał już ruszać i ostatni podróżni wskakiwali pospiesznie do wagonów, pośród nawoływań posługaczów i ogłuszającego gwizdu lokomotywy. Nagle hałas jakiś wszczął się od strony ambulansu pocztowego, konduktor mający już dać znak do odjazdu, opuścił rękę i spiesznie pobiegł w tym kierunku.

Podróżni, zaalarmowani, zaczęli się tłoczyć do okien, dopytywać się, co się stało. Nikt jeszcze nie umiał na to dać odpowiedzi.

Pasażer z parowca „Cambodge", zaciekawiony również wzrastającym zgiełkiem, wychylił głowę ze swojego przedziału. Zamierzał nawet wysiąść z pociągu, aby się dowiedzieć o przyczynie tego alarmu, kiedy opóźniony jakiś podróżny, zdyszany i rozgorączkowany, wskoczył do środka.

— Ah! Do dyabła! — zaklął. — Przybywam w samą porę. Gdyby nie ten wypadek, pociąg byłby mi uciekł z przed nosa!

Mówiąc to, rozkładał pled na siedzeniu i umieścił torebkę swoją w siatce, obok walizy nieznajomego. Był to staruszek, pełny życia i ruchliwości, którego oczy błyszczały zupełnie młodzieńczym blaskiem. Ubrany był bardzo skromnie, w płaszcz długi, brunatny. Górną część twarzy osłaniał duży, miękki kapelusz, szyję zaś miał owiniętą włóczkowym szalikiem.

Spostrzegłszy, że nowoprzybyły poruszył jego walizę, aby znaleźć miejsce dla swojej torby podróżnej, nieznajomy ściągnął brwi z niezadowoleniem.

Zauważył ten ruch staruszek i uśmiechnął się uprzejmie:

— Niech pan wybaczy, panie pułkowniku — rzekł dobrodusznie — ale jeżeli to pana krępuje, to umieszczę swój bagaż gdzieindziej.

Pasażer z „Cambodge'a" przypatrzył mu się z natężoną uwagą.

— Pułkowniku? — odparł żywo. — To pan mnie zna?

— Nie mam tej przyjemności.

— Skądże więc?

— Ah! Mój Boże! To zupełnie naturalne. W chwili, kiedy trzymałem pańską walizę w ręku, spojrzenie moje padło machinalnie na napis, wyryty na niej: „pułkownik Robert". Żałuję bardzo, jeżeli ta niedyskrecya moja mimowolna uraziła pana.

Pułkownik Robert nie odpowiedział. Hałas na peronie wzmógł się jeszcze i uwaga jego w tę stronę została zwrócona.

— Co się tam stać mogło? — szepnął, zaniepokojony, wychylając się przez okno.

— Mogę pana poinformować — rzekł staruszek uprzejmie. — Tak, jak wspomniałem, przybyłem z opóźnieniem na dworzec. Żeby nie to wydarzenie, byłbym zmuszony zatrzymać się na noc w Marsylii.

— Ale co to za wydarzenie właściwie?

— Pan zapewnie wie, że przed paroma godzinami parowiec „Cambodge" zawinął do portu powracając z Indyi?

— Należałem do jego pasażerów.

— Ah, tak! Powinienem był domyślić się tego, widząc ogorzałą twarz pana. A więc „Cambodge" przywoził ze sobą ważne depesze dla rządu francuskiego. Depesze te zamknięte były w dużych skórzanych workach i przewiezione wozem pocztowym, po wyładowaniu ich z okrętu, na dworzec tutejszy...

— A więc?...

— A więc, kiedy wózki te przybyły do ambulansu pocztowego, zauważono, że jeden z nich był naruszony!

— O, do dyabła!

— Teraz zrozumie pan zamieszanie i przestrach, jakie to odkrycie wywołało na dworcu. Depesze takie, pochodzące ze Wschodu, są często bardzo wartościowe. Przypuszczano więc, że dokonano na nich zuchwałej kradzieży.

— Należy tak przypuszczać!

— A jednak przypuszczenie to jest mylne!

— Co pan mówi?

— Przy dokładnem zbadaniu worka i sprawdzeniu w księgach numerów depesz, skonstatowano, że brakuje tylko jeden akt, mający być złożony w ministerstwie marynarki w Paryżu.

— A to szczególne!

— Nieprawdaż?

— Rezultat tego wydarzenia właściwie nie jest tak ważny. Ciekawy jestem, co zarząd kolei uczyni w tym wypadku?

— Spisano podobno protokół i zapewne zjedzie tu wkrótce komisya śledcza. Tymczasem zaś odjedziemy bez dalszej przeszkody do Paryża.

Jakby na potwierdzenie słów staruszka, rozległ się gwizd przeciągły z lokomotywy, wzbiły się kłęby gęstej, białej pary i pociąg ruszył pospiesznie.

Kiedy podróżni stanęli w Paryżu, pułkownik Robert natychmiast opuścił dworzec, unosząc ze sobą swoją żółtą walizę. Jednakże, kiedy miał już odejść z poczekalni, zwrócił się do swojego towarzysza podróży, który szedł za nim w pewnej odległości.

— Udaję się do Grand-Hotelu — oznajmił. — Jeżeli pan zdąża w tę stronę, chętnie służę panu miejscem w powozie.

— Dziękuję serdecznie — odparł staruszek, kłaniając się. — Ja mieszkam na ulicy Abbacya, w innej zupełnie dzielnicy, nie chcę więc nadużywać grzeczności pana.

— W takim razie musimy się pożegnać!

— Do widzenia, panie pułkowniku! Nie wiadomo, może się jeszcze kiedy spotkamy w życiu. A skoro nazwisko pana jest mi znane, pozwoli pan ofiarować sobie mój bilet wizytowy. Może kiedy będzie pan potrzebował moich usług, chociaż wobec pana jestem nędzną osobistością. Ale nie wiadomo nigdy...

Mówiąc tak, staruszek wręczył pułkownikowi kartkę, na której wypisane było: „Cypryan Leduc, archiwista". Poczem obydwaj rozłączyli się, udając się każdy w inną stronę.

VII.

Pułkownik Robert wsunął bilet swojego towarzysza do kieszeni płaszcza i, opuściwszy dworzec lyoński, skierował się na bulwary.

W pół godziny później wchodził do Grand-Hotelu. Dwóch służących wybiegło na jego spotkanie i podeszło do powozu.

— Pan pozwoli walizę — rzekł jeden z nich, wyciągając rękę.

Pułkownik rzucił mu swój koc podróżny, mówiąc:

— Nie trzeba, zaniosę ją sam! Tylko proszę mi dać natychmiast pokój dobrze ogrzany, bo przemarzłem bardzo w drodze.

— Pan niema innych bagażów?

— Przybędą później. Oto moje nazwisko!

Wszedł na szerokie schody, prowadzące na pierwsze piętro i znalazł się na korytarzu.

— Numer sto dwudziesty trzy, proszę pana — zawołał służący, idący za nim. — Pan zechce iść za mną, to wskażę!

Służący minął kilkanaście drzwi i w końcu otworzył drzwi obszernego, jasnego pokoju, w którym palił się wesoły ogień na kominku.

— Czy pan żąda czego? — zapytał, kłaniając się nisko.

— Na razie nie potrzebuję niczego — odpowiedział pułkownik. — Proszę nie wchodzić, aż zadzwonię! Chcę zmienić ubranie i nie lubię, kiedy mi kto przeszkadza!

— Słucham pana!

Zaledwie drzwi się za nim zamknęły, pułkownik pospieszył przekręcić klucz w zamku, wziął walizę i umieścił ją na stole, przed którym usiadł. Twarz jego przybrała nagle wyraz dziwnie zuchwały, prawie dziki. Blask jakiś rozświetlił jego głębokie, ciemne oczy, czoło zbiegło się w pionowe, silne fałdy, a nozdrza zadrgały nerwowo.

Jednakże widok zawartości otwartej walizy nie mógł wywołać tak nagłego przeobrażenia. Znajdowały się tam tylko przybory toaletowe, koszule cienkie, haftowane chustki do nosa, rękawiczki, wydzielające silny zapach perfum.

Pułkownik zaledwie zwrócił na nie uwagę. Brutalnym ruchem zaczął przetrząsać rzeczy, odrzucając gorączkowo na podłogę rękawiczki i chustki. Zatrzymał się dopiero, kiedy palce jego dotknęły dna walizy.

I wtedy z jakimś dzikim, nieobliczalnym giestem, nacisnął sprężynę, ukrytą w płótnie, która odkryła natychmiast dno podwójne i wydobył schowaną tam dużą kopertę, zapieczętowaną czerwonym lakiem. Na widok tej koperty, głębokie westchnienie ulgi wyrwało się z jego piersi. Szybko złamał pieczęci, rozdarł niecierpliwie papier i wyjął kilka złożonych kartek, które rozłożył na stole. Wówczas spokojnie zaczął kartki te odczytywać. Jedne nosiły datę z Pondichery, drugie z Chandermaga, na kilku innych widniały pieczęci konsulatu francuskiego w Kalkucie.

— Tak, tak! — szepnął zadowolony. — O to mi właśnie chodziło! Nic nie brakuje. Ale akt? Najważniejszy akt? Czyżby nędznik jaki go wykradł? Ah, nie! To niemożliwe!

I nagle palce jego zacisnęły się kurczowo na kawałku pergaminu, który uszedł jego gorączkowym poszukiwaniom.

— Oto jest! — zawołał tryumfująco. — Wiedziałem, że być tu musi. To akt zejścia! Gdybym się nie był zabrał w porę do tego, wszystko byłoby stracone!

Odetchnął raz jeszcze głęboko i spojrzenie jego badawcze i podejrzliwe pobiegło wokoło pokoju. Ale nie miał powodu do żadnego niepokoju. Z korytarza dochodził tylko stłumiony szelest kroków służby i podróżnych, przesuwających się po schodach.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się z zadowoleniem. Powstał od stołu, raz jeszcze przejrzał zawartość koperty, zebrał wszystkie papiery razem i wrzucił je na płonący ogień. Prawie natychmiast jasny płomień wzbił się wysoko i wkrótce z papierów pozostały tylko popioły.

— No, pozbyłem się ich nareszcie! — szepnął radośnie. — Teraz już nie potrzebuję się niczego obawiać! Zanim duplikaty tych aktów nadejść mogą do Francyi, upłyną trzy długie miesiące — a przez ten czas usunę wszystkie przeszkody, stojące na mojej drodze.

Pułkownik Robert wyprostował wysmukłą swoją postać i pewnym, zuchwałym wzrokiem spojrzał przed siebie. Po chwili podszedł do drzwi i przycisnął guzik elektrycznego dzwonka.

Służący stanął na progu.

— Czy bagaże moje nadeszły już? — zapytał pułkownik.

— W tej chwili właśnie — objaśnił służący. — Jeżeli pan sobie życzy...

— Proszę je przynieść natychmiast!

W jakiś czas później przywieziono dwa duże kufry, które umieszczone zostały w gabinecie, przylegającym do pokoju.

Po odejściu służby, pułkownik przebrał się i wyszedł. Znalazłszy się na bulwarze, wsiadł do przejeżdżającej dorożki i kazał się zawieźć na ulicę Castiglione. Na ulicy tej niedaleko ogrodu znajduje się ajencya, trudniącą się sprzedażą i wynajmem will i domów.

Pułkownik Robert wszedł do biura.

— Proszę pana — rzekł do właściciela lokalu. — Przybyłem dziś rano do Paryża i zatrzymałem się w Grand-Hotelu, ale tylko tymczasowo. Pragnę bowiem wynająć willę umeblowaną, którąbym mógł zająć natychmiast. Sądzę, że mi pan coś odpowiedniego wynajdzie. Cena nie robi różnicy, aby tylko pertraktacye nastąpiły szybko.

Ajent skłonił się z uszanowaniem.

— Doskonale się składa — wyrzekł, uśmiechając się. — Właśnie mam od wczoraj willę do dyspozycyi na bardzo dogodnych warunkach, ze stajnią, parkiem, wozownia.

— Gdzie się znajduje ta willa?

— Na polach elizejskich.

— Punkt dobry. Czy meble są w dobrym stanie?

— Są prawie zupełnie nowe. Willę tę odstępuje pewna młoda kobieta, która zrujnowała się na giełdzie i chce w ten sposób zaoszczędzić sobie wydatków, a nawet sprzedać.

— A więc ja będę nabywcą tej willi, jeżeli będzie dla mnie dogodną. Kiedyż będę mógł się do niej sprowadzić?

— Choćby dzisiaj jeszcze.

— Doskonale. Jaka jest cena wynajmu?

— Trzydzieści tysięcy franków, płatnych z góry.

— Trzydzieści tysięcy? Dobrze. Odliczę to później z ceny kupna, jeżeli się zdecyduję. Pójdę obejrzeć willę, a potem załatwimy sprawę.

— Dobrze, proszę pana.

— A więc do jutra, bo nie wiem, czy dzisiaj jeszcze uporam się z nawałem interesów, jakie mnie oczekują.

— Do jutra, panie pułkowniku — odparł ajent, rzuciwszy przedtem spojrzenie na wręczony mu bilet wizytowy.

Pułkownik Robert wsiadł do oczekującej na niego dorożki i rzucił rozkaz:

— Ulica Bel-Air 36, w St. Maudé.

W godzinę później powóz dojechał do miejsca przeznaczenia. Zapłaciwszy dorożkarza, pułkownik Robert wysiadł i wszedł do kamienicy dużej, oddzielonej od ulicy ogrodem kwiatowym i ochronionej wysokimi, żelaznymi sztachetami. Nad bramą wchodową wisiała szeroka tablica czarna, na której odcinał się napis, wyryty białemi literami: „Pensyonat wychowawczy, ogród i obszerny dziedziniec do zabaw i gier".

Pułkownik podszedł do furtki i zadzwonił. Otworzyła mu stara, zgarbiona kobieta.

— Pani Bourgeois? — zapytał.

— To tutaj. Proszę wejść!

Pułkownik wszedł do ogrodu i długą aleą doszedł do domu, mieszczącego się w głębi. Zaprowadzono go natychmiast do dużego salonu, gdzie pozostał sam na chwilę.

W parę minut drzwi otworzyły się i na progu stanęła pani Bourgeois. Była to kobieta czterdziestoletnia, o sztywnem i zimnem zachowaniu, ruchach poważnych i wymierzonych.

— Zdaje mi się, że mnie pani nie poznaje — rzekł pułkownik, kłaniając się.

— Rzeczywiście — odparła dyrektorka zakładu.

— Pułkownik Robert.

— Ah, przepraszam pana najmocniej! Przypominam sobie teraz doskonale! Niech mi pan wybaczyć zechce, ale tak dawno nie widziałam pana.

— Zdaje się, że sześć miesięcy.

— Ma pan słuszność.

— W czasie tym zamierzałem odbyć dłuższą podróż i powierzyłem opiece pani młodą panienkę...

— Krewną pana.

— Tak jest.

— Gilbertę.

— Tak! Gilbertę, sierotę, którą zająłem się i wydobyłem z ciężkiego położenia, w jakiem się znajdowała.

Pani Bourgeois uśmiechnęła się życzliwie.

— O, zaręczam panu, że pamiętam doskonale zwierzenie, uczynione mi przez pana. Okazał się pan tak dobrym i wspaniałomyślnym dla tego biednego dziecka! I zdaje mi się, że nie pożałuje pan nigdy tego czynu.

— A więc pani jest zadowoloną z Gilberty?

— To najbardziej uległa i najlepsza z moich pensyonarek — odparła żywo pani Bourgeois.

— Przekonanie to cieszy mnie niewymownie!

— Czy pan przychodzi mi ją może zabrać?

— Nie, proszę pani! Przynajmniej nie na razie. Pragniemiem mojem jest pozostawić ją jeszcze czas jakiś pod kierunkiem pani. Mam nadzieję, że stan jej zdrowia jest zadawalniający obecnie?

Pani Bourgeois nie dała odpowiedzi, tylko czoło jej pokryło się cieniem jakimś.

Pułkownik Robert zbladł lekko i, ujmując ją za rękę, wymówił drżącym głosem:

— Pani milczy? Czyżby Gilberta była chorą?

Pani Bourgeois zaprotestowała ruchem ręki.

— Nie, nie! — odpowiedziała. — Niech się pan nie niepokoi! Gilberta jest zdrowa i szczęśliwa, tylko od paru tygodni zauważyłam, że...

— Co takiego, pani Bourgeois?

— Oh, nic tak ważnego zresztą. Zauważyłam, że posmutniała trochę. Wesołość jej zniknęła, ustępując miejsca jakiejś dziwnej melancholii. Słowem, zdaje mi się, że jakiś tajemniczy powód jest tego przyczyną.

— Czy to możliwe?

— Przesadzam może przez życzliwość dla tego dziecka... Jednakże przyznać muszę, że zmieniła się bardzo i podejrzywam, że jakieś myśli niepokojące dręczą ją.

Czoło pułkownika Roberta pokryło się zmarszczkami.

— Słowa pani zmieniają moją decyzyę. Nie chciałem jej jeszcze powiadomić o moim powrocie, ale to wszystko niepokoić mnie zaczyna i pragnę wyjaśnić tę zmianę jej usposobienia.

— Pan pułkownik chce się z nią zobaczyć?

— Tak.

— Ale pan się nie będzie gniewał na nią — prosiła dyrektorka. — Ona jest taka wrażliwa!

Pułkownik uścisnął rękę pani Bourgeois.

— Niech pani będzie spokojna — rzekł, uśmiechając się. — Znam ją również dobrze jak i pani i nie chciałbym jej uczynić przykrości. Proszę teraz iść po Gilbertę, ale niech pan jej nie mówi, kto na nią oczekuje.

Pani Bourgeois wyszła natychmiast, a pułkownik Robert pozostał sam, przechadzając się w zamyśleniu po salonie.

VIII.

Oczekiwanie zresztą nie trwało długo. Upłynęło zaledwie kilka minut, kiedy delikatne kroki rozległy się na korytarzu i w drzwiach stanęła młoda, ładna dziewczyna.

Gilberta kończyła lat siedmnaście; była szczupła i wysoka. Gęste, jasne włosy otaczały jej gładkie, białe czoło, tworzące oryginalny kontrast z dużemi, czarnemi oczami o wyrazie melancholijnym i łagodnym.

Weszła uśmiechnięta, ożywiona, ale jak tylko spostrzegła pułkownika, twarz jej pokryła się lekką bladością.

— Pan Robert! — szepnęła słabym głosem. Stanęła, nie śmiejąc postąpić naprzód.

Pułkownik podszedł do niej i łagodnie ujął jej ręce.

— Kochane dziecko! — rzekł serdecznym głosem. — Co ci jest? Dlaczego tak drżysz przedemną?

— Bo...

— Bo co, Gilberto?

— Nie uprzedzono mnie... nie oczekiwałam przybycia pana tak prędko...

Pułkownik Robert dotknął jej czoła ustami.

— Rozumiem — rzekł — i źle uczyniłem nie uprzedzając cię. Nie miałem zamiaru widzieć się z tobą dziś jeszcze, ale tak pragnąłem wiadomości o tobie.

— Oh! Jaki pan dobry! — przerwała młoda dziewczyna.

— Kocham cię, Gilberto, i wszystko co ciebie się tyczy, interesuje mnie silnie. Ot, widzisz!... Przybyłem do Paryża po długiej i uciążliwej podróży i natychmiast chciałem dowiedzieć się coś o tobie, czy nie bardzo nudziłaś się tutaj w pensyonacie tej samej pani Bourgeois i czy stan twojego zdrowia jest zadawalniający.

Zmieszanie, które zdradziła Gilberta na widok swojego opiekuna, ustąpiło już w części i delikatne rumieńce wystąpiły na jej twarz delikatną.

— Nie zapomnę nigdy — rzekła wzruszonym głosem — dobroci, jaką mi pan zawsze ukazuje. Byłam taka nieszczęśliwa, kiedy pan przyszedł mnie zabrać ze sobą. Ci robotnicy, którzy mnie przyjęli do siebie, kiedy zostałem sierotą, byli często okrutni i niesprawiedliwi dla mnie. Byłabym tam umarła z żalu i głodu! Ale los chciał inaczej i zesłał mi pana na ratunek. Wyrwał mnie pan z ich rąk niegodziwych i oddał pod opiekę najzacniejszej kobiety, gdzie odtąd zaznałam spokoju i szczęścia. Oto, panie Robercie, rzeczy, które zawsze pamiętać będę i za które gorącą wdzięczność czuję dla pana.

— Jesteś dobrem dzieckiem, Gilberto — odparł pułkownik — i słowa twoje wielką mi sprawiają przyjemność. W dniu, w którym cię spotkałem, jakieś głębokie uczucie pociągnęło mnie do ciebie i zrozumiałem, że jesteś przeznaczona do odegrania ważnej roli w mojem życiu.

— Co pan mówi, panie Robercie?

— Wyjaśnię ci wszystko, kiedyś w przyszłości. Widzisz, Gilberto, życie i mnie doświadczyło okrutnie i chociaż stosunkowo nie jestem jeszcze starym człowiekiem, cierpiałem już wiele.

— Czy to możliwe?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z tygodnia.

Niepodzielność Legionów zapewniona.

W pismach warszawskich pojawiła się jednobrzmiąca notatka, rozesłana przez biuro „Wat“, a donosząca za „Posener Tagblatt“, jakoby hr. Czernin oświadczył Kołu Polskiemu w Wiedniu, iż austryaccy poddani zostaną z Legionów wycofani. Notatka ta wywołała zrozumiałe zaniepokojenie. Jak się okazało jednak — doniesienie „Posener Tagblattu“ nie odpowiada prawdzie. Generał-gubernator Beseler zawiadomił bowiem komendę Legionów, iż nie będzie więcej czyniona różnica między Legionistami, austryackimi poddanymi a Legionistami z Królestwa Polskiego. Wszystkie zarządzenia, które dzieliły Legionistów na austryackich obywateli i „National Polen“ tracą swoją moc.

W kołach miarodajnych informują też, że również kwestya przysięgi wojska polskiego została pomyślnie załatwiona i że niebawem będzie ogłoszona. Rota przysięgi uwzględnić ma ostatecznie tekst, zaproponowany przez Radę Stanu i ma być jednolitą dla całych Legionów.

W związku z tem pozostaje rozporządzenie gegenerał gubernatora Beselera, który, jako komendant polskiej siły zbrojnej, rozkazał, iż służący w Legionach austryaccy poddani, którzy chcą przenieść się do c. i k. armii, mogą to uskutecznić w przeciągu najbliższych czterech tygodni. Po upływie tego czasu, wszelkie prośby o przeniesienie do c. i k. armii, uwzględnione nie będą.

Rozwiązanie sądów legionowych.

Na podstawie zarządzeń generał gubernatorstwa warszawskiego, wydała Komenda Legionów rozkaz następujący:

„1. Wszyscy oficerowie i żołnierze Legionów polskich, poddani austryaccy lub węgierscy, co do których zajdzie uzasadnione podejrzenie karygodnego czynu, którego ukaranie nastąpićby mogło wedle par. 1 l. 2 niemieckiej ordynacyi dyscyplinarnej w drodze dyscyplinarnej, albo który podpada pod sankcyę karną niemieckiej ustawy karnej wojskowej, będą z wojska polskiego wyłączeni i odstawieni do c. i k. władz austryacko węgierskich, bez prawa powrotu do Legionów.

2. Dotychczasowi sędziowie legionowi sądów polowych w Warszawie i Dęblinie, z wyjątkiem majora aud. Gańczarskiego, który pozostanie przy Komendzie Legionów polskich, jako referent prawny w sprawach poddanych austryackich, względnie węgierskich, odejdą po rozwiązaniu dotychczasowych sądów polowych w Warszawie i Dęblinie do c. i k. Komendy obwodowej w Piotrkowie, przy równoczesnem zwolnieniu ich ze służby w Legionach. C. i k. Sąd wojskowy Komendy obwodowej w Piotrkowie będzie odtąd właściwym dla spraw karnych obywateli austryackich, względnie węgierskich w Legionach.

3. Wszyscy legioniści, poddani austryaccy, względnie węgierscy, znajdujący się w areszcie śledczym i ci, nad którymi areszt ten zostanie zawieszony, będą bezzwłocznie odstawieni do sądu c. i k. Komendy obwodowej w Piotrkowie.

Postanowienia powyższe wejdą w najbliższych dniach w życie. Ostrzegam wszystkich poddanych austryackich i węgierskich, którzy służą w Legionach, przed popełnieniem jakichkolwiek czynów karygodnych, gdyż niezależnie od kary, jaka ich w c. i k. Sądzie spotka, narażają się na wszelki sposób na bezpowrotne wydalenie z Legionów.

Zieliński, pułk. mp.“

Język polski w nauce religii w Poznańskiem.

„Nordd. Allg. Ztg.“ donosi:

„Minister wyznań wydał rozporządzenie do administracyi oświaty, by przywrócić naukę religii w języku polskim w tych szkołach prowincyi poznańskiej, gdzie ta nauka z powodu braku nauczycieli, mówiących po polsku, została przerwana i musiała być zastąpiona nauką religii w języku niemieckim. Obecnie także wszędzie tam, gdzie część uczęszczających do szkoły dzieci nie włada dostatecznie językiem niemieckim, dla tych dzieci w najniższej klasie nauka religii ma być udzielana w języku polskim. W razie braku nauczycieli, mówiących po polsku, nauka religii oddana będzie nauczycielom szkół sąsiednich lub duchownym.“

Postulaty Koła Polskiego.

Przedłożone rządowi żądania Koła Polskiego, brzmią — według „Kuryera Lwowskiego“ — następująco:

I.

Przywrócenie stosunków konstytucyjnych w kraju i zmiana systemu politycznego i administracyjnego.

a) Odpowiednie zastępstwo w radzie ministrów.

b) Powołanie szefów sekcyi Polaków i stosownej liczby innych urzędników do wszystkich ministerstw i urzędów centralnych i trybunałów.

c) Zniesienie rozporządzeń językowych, wydanych przez ministerstwo kolejowe.

d) Zniesienie sądów wojskowych i przywrócenie sądów przysięgłych.

d) Zniesienie cenzury politycznej w kraju.

f) Wprowadzenie cywilnego zarządu w kraju (namiestnika i starostów).

g) Komendy etapowe mają pracować wspólnie ze starostwami, korporacyami rolniczemi, komendy zaś rejonowe mają być zniesione.

h) Odwołanie obcych urzędników z kraju, w szczególności kolejowych i pocztowych.

f) Natychmiastowe obsadzenie opróżnionych posad w rozmaitych działach administracyi rządowej.

j) Przeniesienie wyższego sądu krajowego z Ołomuńca do kraju.

II

Przywrócenie autonomii miast i gmin w kraju.

Reaktywowanie Rad miejskich i gminnych.

III

Odpowiedni udział we wszystkich instytucyach gospodarstwa wojennego.

Przy Centralach, dla których rząd mianuje za rząd, ma być natychmiast powołana odpowiednia liczba przedstawicieli kraju.

We wszystkich komisyach i innych organizacyach, które obecnie funkcyonują w zakresie gospodarstwa wojennego, ma być powołana większa liczba przedstawicieli naszego kraju, a to z łona producentów, jakoteż i konsumentów.

IV.

Załatwienie gospodarczych żądań kraju w rozmiarach, odpowiadających jego potrzebom.

a) Przyjęte kilkakrotnie przez rząd zasady od budowy kraju mają być dotrzymane.

b) Budżety Centrali na pierwszą połowę 1917 r. jakoteż na okres 1917—1918 mają być natychmiast zatwierdzone z prawem dwuletniego użycia.

c) Sprawa przeniesienia, komasacyi i odbudowy zburzonych wsi w obrębie fortec, winna być jak najrychlej załatwiona.

d) Wszelkie przemysły, połączone z potrzebą odbudowy, mają być uruchomione.

e) Należy przeprowadzić rewizyę cen płodów rolniczych produkcyi wiejskiej z uwzględnieniem wyjątkowo trudnych stosunków rolniczych w Galicyi.

f) Rekwizycye bydła i koni w Galicyi ma być wstrzymana na tak długo, dopóki spowodowany wojną ubytek bydła i koni nie zrówna się procentowo z ubytkiem w innych krajach, które wojna pominęła i wzbogaciła.

Każdej rodzinie musi być przynajmniej jedna krowa pozostawiona. Ogólna suma tych krów musi być odliczoną od wykazu stanu bydła, podlegającego rekwizycyi.

g) Dostarczenie krajowi inwentarza pociągowego, oraz źrebiąt.

h) Wszelkie rekwizycye, przeprowadzone przez wojsko, winny być płatne natychmiast gotówką po cenach maksymalnych.

i) Zasiłki ewakuowanej ludności z Galicyi bez względu na miejsce ich przymusowego pobytu, mają być zapłacone za czas od początku ewakuacyi.

j) Zrównanie zasiłków wojskowych dla rezerwistów.

V.

Natychmiastowe i ścisłe wykonanie ustawy o świadczeniach wojennych.

a) Zniesienie wszystkich rozporządzeń wykonawczych i objaśnień z celem i duchem ustawy o świadczeniach wojennych niezgodnych, a w ślad za tem niezwłoczne wyrównanie wszystkich na ustawie uzasadnionych orzeczeń, a jakiekolwiek zamierzone rozporządzenia wykonawcze mogą być wydane tylko po poprzedniem porozumieniu z Kołem Polskiem, w szczególności:

A) Niezwłoczne wprowadzenie w życie komisyi z par. 19 i 20 i wypłata sprawdzonych przez tę komisyę wynagrodzeń za świadczenia.

B) Niemniej wypłata tych świadczeń wogóle, które zostały przez komisye powiatowe ugodowo załatwione na podstawie par. 33.

Na wszystkie inne roszczenia, już zgłoszone, a jeszcze nie płynne, mają być udzielane zaliczki w miarę ich uprawdopodobnienia.

Likwidacya urzędów rosyjskich Królestwa Polskiego.

„Dziennik Kijowski“ z 3. czerwca donosi:

Na posiedzeniu Komisyi Likwidacyjnej do spraw Królestwa Polskiego, odbytem 16. maja, powzięto następujące uchwały:

I. 1) Na mocy postanowienia Rządu Tymczasowego z dnia 17. marca 1917 roku uważać za skasowane: zarządy żandarmskie, żandarmską policyę kolejową i wydziały ochrany gubernii Królestwa Polskiego.

2) Skasować straż ziemską gubernii Królestwa Polskiego i warszawską policyę miejską.

II. Wszystkie wakujące posady ministerstwa sprawiedliwości w okręgu Izby sądowej warszawskiej pozostawić nie zajęte: odpowiednie sumy, przeznaczone do opłacenia posad zajętych, przelewać niezwłocznie do funduszów skarbu państwa.

Przytoczone uchwały będą zreferowane przez prezesa Komisyi Likwidacyjnej p. Aleksandra Lednickiego na jednem z najbliższych posiedzeń Rządu Tymczasowego dla ostatecznego ich załatwienia.

Kronika tygodniowa.

„Niechaj się obwiesi, kto wynalazł gorąca!...“, tak powiada jeden i drugi Krakowianin, pocąc się ciągle, nadto nie mając czem ugasić pragnienia, gdyż piwa, jako się już poprzednio rzekło, brak, mleka kwaśnego się nie widzi nawet, z wodą sodową coraz gorzej, niewiele zaś brakuje, by nam jeszcze wymówiły posłuszeństwo wodociągi bielańskie.

Jaka na to rada?... pyta ten i ów zrozpaczony, pukając z rozpaczą w barometr, który się uwziął i powiedział sobie, że da ludziom przykład, jak się powinno szanować swe zasady. Stanął sobie na „pięknej pogodzie“ i ani myśli się stamtąd poruszyć. Niejeden spadł wprawdzie bardzo nisko, bo aż na ziemię i po tłukł się w kawałki, ale i to na nic się nie zdało i deszczu jak nie było, tak niema, na co narzeka Zakład czyszczenia miasta, rolnicy i ogrodnicy, w dalszym ciągu zaś ogół jedzących i pijących, przed którymi staje coraz wyraźniejsze widmo głodu i pragnienia.

Ale — jak powiada filozof — kto chce psa uderzyć, kija znajdzie!... Chcemy się pozbyć gorąca, możemy to bardzo łatwo uczynić, wystarczy założyć tylko dla niego odpowiednią centralę, a nie zobaczymy się z niem tak rychło. Bo tak się to już u nas dzieje, że co centrala jakowaś wzięła w swe rączki, z tem można się raz na zawsze pożegnać. Dowód choćby na spirytusie, czystym i denaturowanym, którego sprzedaż oddano specyalnej centrali, mającej swe filie w całym kraju i wcale grzecznie płaconych funkcyonaryuszy. Powodem założenia centrali miało być podobno uregulowanie sprzedaży tego artykułu i chronienie konsumentów przed wyzyskiem niesumiennych jednostek. Równocześnie ogłoszono taryfę maksymalną, według której litr spirytusu czystego, dziewięćdziesięciosiedmio procentowego, ma kosztować coś około pięciu koron, denaturowanego zaś koronę i dwadzieścia sześć halerzy.

Tak jest, ale tylko na papierze, zupełnie zaś inaczej dzieje się w rzeczywistości.

Wydawnictwo *Nowości Illustrowanych*, prowadząc wyrób klisz cynkowych w swym własnym zarządzie, jest też w tem miłem położeniu, iż musi starać się o różne materyały, do tego potrzebne, do nich zaś należy także spirytus czysty, w najgorszym zaś razie denaturowany. Co do czystego, to już dawno zrezygnować musiano z chęci jego nabycia, gdyż nigdzie go nie dostanie, choćbyś ofiarował bajońskie wprost sumy (na razie dochodzi tylko do... trzydziestu kilku koron, ale są też „dobrodzieje“ przemysłowcy, którzy, nie kładąc tamy dobroczynności, żądają jeszcze więcej!...) Pozostaje więc denaturat, na który cały legion Krakowian, gotujących na maszynkach spirytusowych, nrządza formalne polowania po mieście, wydziera go sobie z rąk i własnowolnie podbija ceny do niebywałej wprost wysokości. W niektóre dni, przed sklepami, mającymi upoważnienie do sprzedaży spirytusu, widzi się całe ogonki z flaszeczkami i bez, cierpliwie czekające na swą... kwaterkę, gdyż więcej się nie sprzedaje. Popyt zaś za denaturatem staje się tem większy w miarę, jak uboższa ludność zaczyna go powoli używać, w braku czystego, do zalewania robaka... A wojenny robak ma bardzo silną naturę i byle czem struć się nie da! Nawet „Hoffmańskie krople“ to dla niego to samo, co zwykła woda.

W tej spirytusowej mizeryi udało się przecież przedstawicielowi *Nowości illustrowanych* otrzymać od jednego z potentatów spirytusowych przekaz na dwa litry spirytusu denaturowanego dla potrzeb kliszarni. Z tryumfem przyniósł bilecik, wysłano zaraz służącego pod wskazanym adresem i czekano, aż wróci z obietnicą: „Jutro!“... To zaś „jutro“ powtarza się od dwu tygodni, kliszarnia zaś obchodzić się musi bez spirytusu i powtarza sobie z miną zrezygnowaną: „Obiecał pan kożuch, ciepłe jego słowo!“...

Niechaj więc teraz wejdzie w życie centrala dla ciepła, a ręczę za to, że nikt się już nie będzie pocił, ale z drugiej znów strony jestem też przekonany, że znajdzie się wielu takich, którzy, nie mając węgli (a takich jest dość), radziby byli, gdyby ciepło utrzymało się przez jesień, zimę i wiosnę, aż do następnego węglowego przednówku. O „krakowskiem“ zagłębiu węglowem wiele się mówi, jeszcze więcej zaś pisze i zdaje się właśnie dlatego mamy mniej węgli, niż na przykład miasta, znajdujące się o kilkadziesiąt lub nawet kilkaset kilometrów od kopalni. Ale to także tajemnica centrali węglowej, bo i taką nas już niebiosa obdarzyły.

Skoro już mowa o centralach, to nic od rzeczy będzie wspomnieć o dwu nowych, które są już w projekcie. Mają się one zająć uregulowaniem sprzedaży jarzyn i owoców. Jak zaś wygląda owo „uregulowanie“, zaczynamy powoli odczuwać na własnej skórze i kieszeni.

Jako radykalne lekarstwo na wszelakie owe, wyżej opisanym podobne cierpienia należałoby założyć generalną centralę głodu i pragnienia, a z pewnością poprawiłyby się stosunki, które każdemu wyłażą, nie powiem już „bokiem“, ale oboma bokami!

A tu, jak na złość, o końcu wojny ani słychać, ba, nie możemy się nawet doczekać owej zapowiedzianej przez koalicyę ogólnej ofenzywy, którą, być może, także jakaś centrala wzięła w swe ręce. Nie jest też wykluczonem, że ententa czeka, aż się Włochy wyliżą z owych sukcesów, jakie odniosły w ciągu dziesiątej próby przełamania frontu nad Soczą i na Krasie.

Pisząc w poprzedniej kronice o przepowiedni świętego Jana, zamieszczonej w Apokalipsie, i starając się przykroić ją do obecnej wojny, wierzyłem sam święcie, że owe czterdzieści dwa miesiące panowania bestyi, która wylazła z morza, rychło się już skończą. Tymczasem widzę, że prawdopodobnie byłem w błędzie, gdyż jakiś inny teolog, polityk i strategik w jednej osobie, w piśmie, do mnie wystosowanem, twierdzi, iż ową bestyą nie Anglia, ale Ameryka, że ona jeszcze z morza nie wylazła w zupełności, że więc owe czterdzieści dwa miesiące należy zacząć liczyć od chwili, gdy całe *gros* potęgi Stanów Zjednoczonych, wraz z owymi dwudziestu pięciu tysiącami aeroplanów, uchwalonymi przez komitet obrony narodowej, znajdzie się na brzegach Europy.

Perspektywa więc bardzo miła, nie dziwię się też, że zarząd wojskowy ogłasza zakupno ciepłych rękawiczek na potrzeby armii w czasie czwartej kampanii zimowej.

Gdybym był Jeremiaszem prorokiem, zacząłbym na ten temat układać treny, by potomności przekazać, ileśmy się nacierpieli w czasie wojny obecnej, bez końca i wyniku realnego, skoro warunkiem ewentualnego pokoju ma być zrezygnowanie z aneksyi i odszkodowań wojennych.

Niechaj mi więc powie który z polityków, o co się właściwie bijemy, a obiecuję mu w zamian za to konia z rzędem i co tylko dusza jego zapragnie, a nadto zobowiązuję się głosować wraz z całą mą rodziną za zaprowadzeniem na przyszłość „Centrali wojennej“, dzięki której wszelkie zbrojne starcia między narodami zniknąć musiałyby raz na zawsze z horyzontu.

Tak czarno zapatruję się wobec tego wszystkiego na obecną sytuacyę, iż, gdyby nie to, że ten artykuł jest teraz tak drogi, złamałbym dziś kronikarskie pióro i, bez względu na brak funduszów i kłopoty aprowizacyjne, wybrałbym się w charakterze słomianego wdowca gdzieś na wakacyjne wywczasy, byle daleko od szerokiego świata, gdzie o polityce ani się nie mówi, ani nawet czyta.

Proszę jednak nie myśleć, że ja jestem autorem ogłoszenia, zamieszczonego w „Czasie“, a brzmiącego:

„Kto zaprosi na wieś młodego literata, który mówi ładnie po francusku, jest dobrze wychowany, zdrów, silny, zna się cokolwiek na gospodarstwie rolnem i na ogrodnictwie (miał swój ogród), na budownictwie (sam sobie stawiał willę)?... Łaskawe zgłoszenia z domów polskich i nowożytnie kulturalnych pod „Dulce cum utile“ do... i t. d.“

Większej części powyższych kwalifikacyi nie posiadam, ogrodu, zwłaszcza własnego, nigdy nie miałem, nie budowałem też sobie willi i, przyznam się, wolałbym dom polski, ale troszkę, jak się to mówi „staroźytnie zacofany“, gdzie przecież więcej znajdzie się spokoju i serdeczności, niż w takim „nowożytnie kulturalnym“. Po francusku też nie obiecuję ładnie mówić, gdyż urok i krasę przyrody można bardzo wygodnie wielbić po polsku, a chyba tylko po to wybiera się dziś na wieś, na tak zwany odpoczynek po pracy.

Jeśliby więc, uwzględniając, co wyżej, miał ktoś ochotę zaprosić mnie na wieś, niech to uczyni, ale prędko, zanim się rozmyślę i powezmę inne postanowienie. Podania (bez stempla) należy wnosić na ręce kronikarza, nieuwzględnione, pozostaną bez odpowiedzi. Terminu dokładnie nie oznaczam, w każdym razie zastrzegam się, iż na zimę z Krakowa wyjeżdżać nie miałbym ochoty.

Jeśli zaś nikt mnie samego zaprosić nie zechce, w takim razie postaram się wysłać gdzieś w świat zacną mą Weronikę wraz z przychówkiem, a sam rozpocznę w Krakowie żywot słomianego wdowca. Nie jest on tak przykrym, jakby się komu może zdawało, choć bowiem pozbawionym się jest pewnych wygód domowych, ma się przecież wolność, do której każdy zawsze tak wzdycha. Nawet i władze otaczają słomianych wdowców swą przemożną opieką, co wnosić można z wydanego obecnie pozwolenia, by kawiarnie i cukiernie miały otwarte podwoje aż do dwunastej w nocy.

Z tego nie są znowu zadowolone żony owych słomianych wdowców, skazanych przez los na pozostanie przez czas wakacyjny w Krakowie, i przygotowują zbiorową petycyę, by ze względu na ich spokój, kawiarnie, cukiernie, restauracye i t. d. zamykano w czasie ich nieobecności już o ósmej, bramy domów zaś o dziewiątej, przyczem każdy stróż i stróżka pod osobistą odpowiedzialnością byliby zobowiązani do prowadzenia zapisków, o której godzinie który z lokatorów powrócił do domu. W zapiski te mają mieć prawo wglądania, przy sposobności każdorazowej wizyty w mieście, panie małżonki, by potem pociągnąć winnego do odpowiedzialności przed założyć się mający „Trybunał wierności małżeńskiej“. Słoma jest, co prawda, bardzo palnym materyałem, ale, czy dlatego tak się właśnie nazywają „sezonowi“ wdowcy, tego dotąd nie stwierdził żaden z badaczy naszego języka.

Byłbym jednak zdania, że równą miarę powinno się stosować do obu rodzajów, więc taką samą do męskiego, jak i żeńskiego. A tak właśnie nie jest!... Raz na rok zaledwie, i to na krótki czas, może każdy z nas zostać tym, tak zwanym „słomianym wdowcem“, a już spotyka się z nieufnością rodzaju żeńskiego i żądaniem radykalnych środków zaradczych, gdy tymczasem my, mężczyźni, daleko wyrozumialsi jesteśmy w stosunku do tak znów zwanych „wojennych wdów“, które w mieście bawią się doskonale i ani im to przez myśl nawet nie przejdzie, iż ich mężowie narażeni są gdzieś tam na froncie na ciągłe niebezpieczeństwo.

Co więc wolno niewieście przez pełnych trzy lat, niech tego nie broni mężczyźnie bodaj przez parę tygodni, zwłaszcza, że on pamięta o swych małżeńskich obowiązkach, które przypomina mu ciągle obrączka ślubna, choćby ją nawet nosił nie na palcu, ale w kieszeni kamizelki.

Muszę temu tematowi dać spokój, by snać fantazya nie uniosła mnie zbyt daleko, co mogłoby mnie narazić na konflikt z mą prawowitą władzą domową, która pod tym względem jest raczej zacofaną, niż „nowożytnie kulturalną“. Za jednym zamachem gotowa skonfiskować kronikę, co zaś gorsze, nie ruszyć się z Krakowa na świeże powietrze, tłumacząc się, dajmy na to, zupełnym brakiem proszku perskiego, bez którego trudno się też obejść na willegiaturze. A wiadomo, że choć odnośnej centrali jeszcze niema, dowóz tego artykułu jest bardzo utrudniony, zastępują go zaś surogatami, jak zwykle nic nie wartającymi.

Opowiadał mi onegdaj jeden znajomy aptekarz, iż szwaby, karakony i tym podobne miłe zwierzątka zrobiły mu szkodę na kilkadziesiąt koron, dostały się bowiem do magazynu, gdzie przechowywał „jedynie skuteczne środki na tępienie owadów“ i zjadły nagromadzone tam zapasy, nie ponosząc bynajmniej jakowegoś szwanku na zdrowiu. A były to specyfiki, robiące dobrze, jeśli nie kupującemu, to w każdym razie sprzedającemu.

Widzę, że znowu zbytnio się rozgadałem, a tu trzeba kończyć kronikę, zwłaszcza, że sympatyczny Józio, chłopiec z drukarni, stoi nademną, niczem dyabeł nad grzeszną duszą i powtarza już po raz trzeci:

— Proszę o skrypt!...

A ja miałem zamiar napisać coś o nowem ministerstwie wiedeńskiem, które jest wprawdzie zapowiedziane, jako przejściowe, ale o którem każdy wie, iż długo nie potrwa. Zostawię to na później, do nekrologu, gdy ministrowie i kierownicy ministerstw będą mieli przejść w dobrze zasłużony stan spoczynku.

Natomiast z bolem serca muszę wspomnieć o ostatnich posiedzeniach Rady miasta Krakowa. Na jednem z nich podwyższono ceny miejsc w tramwaju, ale równocześnie uchwalono, by odtąd tramwaje jeszcze powolniej się poruszały, by pasażer, płacąc więcej, miał też i dłuższą przyjemność gniecenia się w ścisku i zaduchu.

Równocześnie postanowiono zaciągnąć pożyczkę miejską, w kwocie 17,130.000 koron, spłacalną przez lat pięćdziesiąt, a przeznaczoną na pokrycie różnych krótkoterminowych zobowiązań i zasilenie budżetu miejskiego, wymagającego bardzo radykalnej kuracyi.

Ze Kraków zaciąga taką pożyczkę, z tego tylko cieszyć się należy, jest to bowiem dowód oczywisty, iż jest miastem bogatem, gdyż bankrutowi nie chciałby chyba nikt pożyczyć, że spłaca swe zobowiązania, to także bardzo chwalebne, będzie bowiem miał kredyt i na przyszłość, ale każdy z podatników skrobie się w głowę i tak sobie myśli, iż to odbije się i na jego kieszeni. Zapewniają wprawdzie znawcy budżetu, iż tylko taka finansowa polityka jest racyonalną, mnie jednak, który kiernię się tak zwanym chłopskim rozumem, jakoś to w głowie nie może się pomieścić!

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka literacka.

Ułożył E. Winter, Tarnów.

Znaleźć tytuły dzieł podanych autorów Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół. utworzą nazwisko i imię polskiego poety.

Lorentowicz?
Staff?
Zapolska?
Winiarski?
Dostojewski?
Gąsiorowski?
Sienkiewicz?
Zaleska?
Grabowski?
Lubieńska?
Krechowiecki?
Żeromski?
Orzeszkowa?
Tetmajer?

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył E. Winter, Tarnów.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć dwa znane polskie przysłowia:

1) - a - - ie - y - n - - - - o - ę - u - - !
2) - - o - a - ie - u - - y, a - e - o - u - nu - - y.

Okienko.

Ułożył J. Markiewicz, Nagawczyna.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a	a	a	a	a
a		a		f
f	g	g	m	m
n		o		o
r	t	t	t	t

Znaczenie wyrazów: 1. Olej skalny. 2. Inaczej kształt. 3. Imię żeńskie.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy, aby powstały dwa znane polskie przysłowia:

1) - - - o - ie - - y - - i, - a - - ó - - - e - - i.
2) - e - ie, - a - - - i - ia - o - - o - a.

Drabinka.

Ułożył M. D., poczta pol. 286.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy i ostatni rząd pionowy, czytany z góry na dół, utworzy imię i nazwisko osobistości, znanej z dziejów polskich.

□ — — — — — — □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — □

Znaczenie wyrazów: 1. Imię męskie. 2. Dyplomata rosyjski. 3. Nazwisko litewskie. 4 Przyrząd mierniczy 5. Zawód. 6. Miasto w Galicyi 7. Miasto na Wołyniu (wprost i wspak). 8. Kraj w Azyi. 9. Tragik grecki. 10. Filozof grecki

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Jaś, Niemka, karafka, łapka, sąd.

Grzebieniówka.

Ułożył E. Winter, Tarnów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w rzędach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy nazwisko i imię wynalazcy aparatu telegraficznego.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Kompozytor polski. 2. Współczesny poeta polski. 3 Pokuta 4. Miasto w Rosyi południowej 5. Bezprawne przywłaszczenie 6. Część mowy.

Zadanie do przestawienia.

Ułożyła H. Dorożyńska, Sieniawa.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Poldzia jedz! Oj Czesi! Narajów. Lej. bieg

Zadanie do przestawienia.

Ułożył St. Winter, Tarnów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Chce Jaguś! Żona tu chowa cielę, pije piwo. Wo!

Bilety wizytowe.

Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Z liter na biletach ułożyć nazwę miejscowości, jaką dana osoba zamieszkuje:

E. G NYDES.

CEL. ZIBER

WLA. OKROSZ

BA. NULLA

N. C. B. NURSKI.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: *A. Brücknera*: **Walka o język.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 25.

Zadanie do przestawienia: Nie do korda, panie Horda!

Grzebieniówka:

M	**e**	**n**	**d**	**o**	**g**	**G**	**e**	**d**	**y**	**m**	**i**	**n**
e		a		n		e		a		e		i
s		n		t		t		h		h		a
s		k		a		y		o		a		g
y		i		r		n		m		d		a
n		n		i		g		e		i		r
a		g		o		a		j		a		a

Łamigłówka literacka:

Romanzero.
Otello.
Marya Magdalena
Antoniusz i Kleopatra.
Na progu życia.
Obrazy.
Wilhelm Tell.
Szkice historyczne
Król-Duch
Ifigenia w Taurydzie.

Zadanie do przestawienia: Pies szczeka, wiatr niesie

Łamigłówka:

Adam
Bunt
Data
York
Kość
Arak
Czar
Yard
Anam
Cyna
Azya
Rząd
Amor.

Okienko:

H	i	r	a	m
i		o		a
r	o	d	o	s
a		o		k
m	a	s	k	a

Zadanie do przestawienia: Kto przebaczy głupiemu, ma sto dni odpustu

Trójkąt magiczny:

W	**i**	**n**	**c**	**e**	**n**	**t**	**y**	**P**	**o**	**l**
I	m	a	g	i	n	a	c	y	a	
N	a	w	a	l	n	i	c	a		
C	e	l	t	o	w	i	e			
E	s	t	r	a	d	a				
N	u	c	h	i	m					
T	a	t	r	y						
Y	a	r	d							
P	a	d								
O	b									
L										

Szarada: Kawka.

Bilety wizytowe: Pątnik Kanclerz. Burmistrz Pomywacz. Sierżant

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Łodyńska Kraków. M. Sokołowska Kraków, S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor. Ostrawa, T. Nikiel Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków, Z. Sperling Wiedeń, F. Horak Oświęcim, S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, H. Mańkowski Wiedeń, J. Górka Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, A. Wojnar Podgórze, J Róg Stryj, B. Książek Miejsce Piastowe, S. Wiewiórowski Poznań, B. Antosz Wiedeń, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków, M. Kowalska Kraków, J. Wysoczański Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, K. Borowiecki Lwów, M Golska Wiedeń, M. Raczyńska Lwów, W. Nowiński Tarnów, P. Wójcik Przemyśl, Z. Małecki Lwów, S. Burzyński Jasło, M Borkowska Przemyśl, Z. Walkowski Brzesko, H Dziedzic Tarnów, E. Winter Tarnów, E Bogdalska, Koropuż.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **A. Siatka, Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 50 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Aleksander Brückner: **Walka o język.** Lwów 1917. Nakładem Książnicy polskiego Towarzystwa Nauczycieli szkół wyższych we Lwowie. Warszawa Gebethner i Wolff. Poznań - M. Niemierkiewicz. Stron 284. Cena koron 7.

Nowo zorganizowana Książnica polskiego Tow. Naucz. szkół wyższych już z drugą publikacyą w krótkim przeciągu czasu stale przed społeczeństwem. Jedna i druga poważna praca naukowa wiąże się z wyłaniającemi zagadnieniami chwili obecnej, dociera do ich wnętrza i istoty, a nadto usiłuje podać praktyczne rozwiązanie postawionych zagadnień.

Trudno o wydawnictwa bardziej na czasie, jak Geografia Polski, St. Pawłowskiego (której pierwsze, wytworne wydanie już jest na wyczerpaniu), lub o świeżo wydaną książkę A. Brücknera, p. t. „Walka o język". Walka o piękno, czystość i niezawisłość mowy! A podejmuje ją prawdziwa chluba naszej nauki i jej przedstawiciel na Uniwersytecie berlińskim. Brückner należy do rzędu tych wszechstronnych naukowców, którzy nie piszą wyłącznie dla swego cechu, lub dla nielicznego grona wybrańców, on mówi do wszystkich słowem gorącem i prostem, wykrzesanem z ognia i przekonania, więc nie dziw, że trafia do umysłów myślących i czujących dobrze, że walkę tę wreszcie podjęto, bo każdy naród winien stać na straży czystości swej mowy. Czas budzić umiłowanie piękna własnej mowy, czas najwyższy uświadomić sobie, że to sprawa nad wyraz doniosła. O reszcie powiedzą tytuły poszczególnych rozpraw w „Walce o język" pomieszczonych, „Walka z cudzoziemczyzną", „Wady naszej pisowni", „Wyrazy obce i ich znaczenie" (Cywilizacya a język), każda z nich jednak mówi znacznie więcej, niż obiecuje. Ta cecha winna najlepiej zalecić nową publikacyę naszemu społeczeństwu.

Administracya Nowości Illustrowanych

wysyła za poprzedniem nadesłaniem gotówki następujące książki:

a) **„Wojenny Balonik“**
Wacława Grabiańskiego
cena 1 kor.

b) **„Po ślubie“**
Artura Gruszeckiego
cena 4 kor.

Na porto polecone nadsyłać należy dla *a)* 50 hal., dla *b)* 70 hal.

Za wysyłki niepolecone Administracya nie odpowiada. — Za zaliczką nie wysyła się.

Potrzebny uczeń do drukarni i kliszarni Nowości Illustrowanych

Właściciele i wydawcy Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.